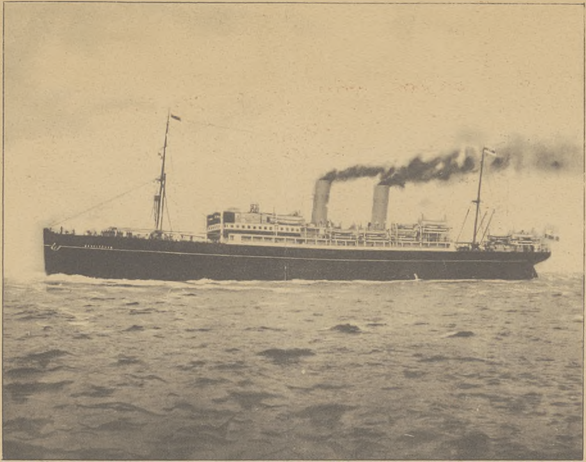
# POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

CZASOPISMO ILUSTR. POŚWIĘCONE EMIGRACJI POLSKIEJ

60 Gr.





*Największy statek P. T. T. O. „Kościuszko", udający się dnia 5. kwietnia br. na wycieczkę wiosenną do Marocca i na wyspy Kanaryjskie*

POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

ROCZNIK II KRÓL. HUTA G. ŚL. — GDYNIA 1. KWIETNIA 1934

*Zygmunt d Erceville*

# Gdynianizujmy duszę...

„Gdynianizujmy" duszę, — bo trzeba, bo warto. Bogatym przemianom ulegnie, cudownej metamorfozie... Rozbłękitniona, użaglona, stanie się pełna oczekiwań jak brzeg, a pełna nieziemskiej mocy — jak morze. Tak! nieziemska to moc — ta moc, która idzie z fal stepów: rozfalowuje tęsknotę, piętrzy ku niebu wolę... By to zrozumieć — trzeba mieszkać w Gdyni! Trzeba widzieć jak ona się wznosi; niby z morskiego żywiołu rozpędu powstają domy, fabryki i dźwigi — twórczego „sztormu" skutek, huraganowych zachceń wyniki. A mieszkać w Gdyni — to znaczy Gdynię kochać, to zn. „gdynianizować" się...

Jak kochać? Rozczuleniem zwróconem w przeszłość — ku maluchnej rybackiej wiosce... podziwem — teraźniejszości... marzeniem, śmiałem marzeniem, — ku przyszłości...

Bo, stanie się Gdynia — pewnością to jest już — ramieniem Polski, przyciągającem świat ku niej; już teraz tajemnice Indyj i śródziemnomorska ducha pogoda i słodycz myśli wiszniowej Japonji i Chin niesamowita, w żółtym kolorze, zjawa, przychodzą na łopocących w wichrze banderach — i w porcie gdyńskim w zamyśleniu trwają. Ukłonem dla Polski jest to zamyślenie, hołdem złożonem jej pracy i przedsiębiorczości. Gdynia — drugi port na Bałtyku, w mnogich resortach życia gospodarczego — port pierwszy. Po Kopenhadze i przed nią! Gdynia — miasto-dziecko, rzucające swe piłeczki-eksport daleko, bawiące się jeszcze w chowanego z przyszłością, która odnajdzie się napewno, jako rzecz wielka i potężna. Dziecko cudowne, o oczach „zeissowo-patrzących", o dłoniach klaksonami portowemi klaszczących, o nogach żaglowo-śrubowych! Jaką dumą napełnia już swych rodziców: Bałtyk i Polskę!

Chodzi do „szkoły" ducha czasu, ucząc się bogacenia, uszczęśliwiania narodu. Poprzez burze natury i niepogodę życia, kryzysem się zowiącą, idzie do celu — by dojść. Dojdzie! Więcej: bo portom, co w przyszłości się zrodzą, drogę właściwą wskaże. Dlatego: posłannictwa brzemię na barkach Gdynian spoczywa. Wiedzą o tem: świadomie i podświadomie. I, oto, powstaje nowy typ Polaka: nie z roli on jest, ale z soli... tak! z morskiej soli. Moc życiodajna, błogosławiona, — treść dali zawierająca, treść niezmierzonych obszarów...

Polak ten posiada następujące charakterystyczne cechy: *ziemi polskiej nie opuszcza, a duchem zamorskim żyje; spokojnej rodzimej pracy energję, do walki ze sztormami niezbędną, poświęca; staje się, niejako, „Robinzonem" na swoich własnych śmieciach.* Bo z cudzoziemcem wciąż konferując, bo z marynarzem przestając, — ich psychikę, ich temperament przyswaja. Gdyńska metamorfoza: z Polaka — Anglik, Amerykanin, Skandynaw, by — jeszcze bardziej móc być Polakiem!...

Ow nowy typ naszego kraju do torowania nowych dróg jest stworzony. Maluczko, a nie będziemy potrzebowali mówić: „człowiek o amerykańskim pokroju", wystarczy gdy powiemy: „człowiek o gdyńskim pokroju"

Obok niego, — posłuchaj ze wzruszeniem, o cała Polsko; — powstaje




*Gdynia w roku 1934 — Widok ogólny z Kamiennej Góry*

nowy typ kobiety-Polki. (Ale, o tem w specjalnym feljetonie.)

*Port, miasto, letnisko i wioska — czapka marynarska, melonik, beret i włos rozwiany... Oto, Gdynia!* Cóż za rozmaitość. Pod jednym dachem niebios poczwórne toczy się życie.... Czy słyszysz? Syrena nawołuje, jezdnia pojazdami szumi, dancingiem rozbrzmiewa plaża, a z pod słomianej strzechy wesoła wybiega pieśń... To wszystko jedna i ta sama Gdynia. Gdy „sezon" — na złotej tacy lata, gdy — schodzą się na oryginalnej randce: pracowita włoczęga z włoczęgą beztroską, wypoczynek-luksus z wypoczynkiem-potrzebą.

Gaworzy dąb na placu Kaszubskim, starodawnym flirtem zbliżając się do Kamiennej Góry. Rozłącza ich teraz tyle: wille, drapacze, grosz i gwar... Nie rozłączało ich przedtem nic, krom trocha przestrzeni i czasem mgły, lub tumanów piasku...

Rozłącza teraz ich tyle. Ale — łączy miłość powstałego miasta. Ale wspólne cele łączą, korabim idące szlakiem...

Powiedziałem słowo „miłość"... Liczne refleksje rodzą się w Gdyni na ten temat:

„... w Gdyni miłość (mówię teraz o tej ludzkiej, co chce być zawsze „nadludzką") nie przejdzie nigdy z cudownego galopu w truchcika... nie stanie się przyzwyczajeniem, nie zbanalizuje się, nie spowszednieje. Morze ją ożywi, poderwie!... dali duch ją poprowadzi... wicher przyniesie jej tematów, nawieje treści..."

Przykład, uzasadnienie? Proszę bardzo: nikt się w Gdyni nie rozwodzi, nikt tu nikogo nie zwodzi. Szczerzy są Gdynianie, jak ich gdyńskie fale, i tak jak one z burz w pogodę beztragicznie wchodzą. Morze, co za nich się modli, umie też i za nich się wyzłościć. Ten ciężar zdejmuje im z serc. O, gdyńska ulico, jakże spokojna, jakże sielankowa jesteś, nazajutrz po morskim sztormie!

Bo, czyż można mieć duszę w gniewie, bo czyż można bawić się w jakieś „sceny", gdy za oknami wyje west, lub nord, gdy sekundy wiatr na metry połykają? Nie! nie można, gdyż z duszy ludzkiej wszelkie zło schodzi wówczas na duszę morza. Oto, jedna z gdyńskich tajemnic, tajemnic z „przepisem na szczęście"...

„Gdynianizujmy" się! Kochajmy Gdyni naszej zieleń — zieleń drzewa młodego, co mówi nie o tem co było, ale o tem co będzie...

Zaklnijmy kochanie to nasze w słowa poety z drugiego krańca Polski, poety Beskidów — Emila Zegadłowicza, parafrazując, w tym wypadku, jego wiersz o lipie:

*Zieleni się Gdynia,*
*ptak nad nią przelata,*
*A od Gdyni wiedzie*
*droga naokoło świata...*



*Gdynia — Orłowo Morskie*




*Wspaniały widok na molo pasażerskie*

»Foto-Elite« Gdynia



*GDAŃSK. Zabytkowa studnia Neptuna z charakterystycznemi orłami polskiemi*

# KRONIKA GDYŃSKA

### Największym portem na Bałtyku jest Gdynia

Według oficjalnych zestawień wynika, że port gdyński pod względem ilości obrotów towarowych zajął w roku 1933 pierwsze miejsce na Bałtyku przed Kopenhagą i Gdańskiem.

### Zryczałtowanie opłat restauracyjnych na fundusz pracy w Gdyni

W dniu 9-go marca odbyła się w gmachu Komisarjatu Rządu, pod przewodnictwem p. nacz. wydz. finansowego, Leonarda Wilczyńskiego konferencja w sprawie zryczałtowania opłat na rzecz Funduszu Pracy, czyli tak zwanego inaczej podatku od siedzenia, pobieranego przez lokale po godz 24-tej w nocy. Na wniosek samych restauratorów ustalono trzy kategorje opłat od 10—20 zł. Stawki nie mogą być doliczane do rachunków gości.

### Wielka konferencja gospodarcza w Gdyni

Dnia 10-go marca odbyła się w Gdyni pod przewodnictwem p. Ministra Przemysłu i Handlu Zarzyckiego wielka konferencja gospodarcza. Konferencja zgromadziła kilku ministrów oraz licznych przedstawicieli świata politycznego i gospodarczo-hundlowego. Wygłoszono trzy referaty. W ożywionej dyskusji poruszono szereg spraw aktualnych tyczących się portu gdyńskiego.

### Jednodniowy kurs charytatywny w Gdyni

Dnia 12-go marca odbył się w Hotelu Centralnym, pod kierownictwem ks. Dziekana Turzyńskiego, jednodniowy kurs charytatywny. Referaty wygłosili Ks. Prałat Wysiński p. t. „Wiara św. a miłosierdzie" i p. dyrektorowa Zapałowska p. t.: „Zapoznanie się z regulaminem dla Stow. Pań Miłosierdzia"

### Zwolnienie firm gdyńskich od opłat stemplowych

Sejm uchwalił, na podstawie referatu posła Tebinki, projekt ustawy upowazniającej Ministra Skarbu do zwalniania firm, pracujących na terenie portu w Gdyni od opłat stemplowych. Projektowana ustawa jest bardzo korzystna dla portu gdyńskiego.

### Podniesienie się cen na place budowlane w Gdyni

W związku z ożywieniem się ruchu budowlanego w Gdyni poszły w górę ceny placów budowlanych od 15—20%. Pomimo to zgłasza się wielu reflektantów na kupno. Przeciętnie płaci się za plac w centrum miasta 40,— zł.

### Olejarnia gdyńska produkuje makuchy sojowe

Polskie koła rolnicze postanowiły pokrywać zapotrzebowanie na makuchy sojowe w Olejarni gdyńskiej „Union". Dotychczas importowano makuchy sojowe z Niemiec. „Union" produkuje miesięcznie około 3000 ton makuchów.



*Niedziela dnia 11 marca 1934 r. była dniem historycznym dla polskiego harcerstwa w Gdańsku. W dniu tym poraz pierwszy polskie oddziały harcerskie umundurowane i z rozwiniętemi sztandarami przemaszerowały przez ulice Wolnego Miasta, udając się do siedziby Komisarza Generalnego Rzpl. Polskiej w celu złożenia mu raportu*

*Zdjęcie nasze przedstawia Ministra R. P. p. Papee i komendę gdańskiego hufca harcerskiego po złożeniu raportu w ogrodzie Kom. Gener. R. P. w Gdańsku.*

# KRONIKA GDAŃSKA

### Zebranie nauczycielstwa polskiego w Gdańsku

W sali inspektoratu ceł odbyło się plenarne zebranie Związku Nauczycielstwa Polskiego na terenie W. M. Gdańska Na zebraniu był obecny przedstawiciel Gen. Komisarjatu pan radca Ziętkiewicz. Prof. Sołtysik wygłosił referat o dotychczasowej realizacji polsko-gdańskiej umowy mniejszościowej. Mówca podkreślił, że przy realizacji umowy napotyka strona polska na szereg trudności powodowanych szykanami ze strony organów podrzędnych, gdyż Senat stoi na stanowisku lojalnego wykonania umowy. Radca Ziętkiewicz, zabierając głos w dyskusji oświadczył, że Komisarjat Generalny przestrzegać będzie jaknajskrupulatniejszego wykonania polskich praw szkolnych w Gdańsku i wezwał obecnych do współpracy w realizacji umowy.

### Zniesienie ochrony lokatorów

Z dniem 1. kwietnia br. przestaje obowiązywać w Gdańsku i Sopotach rozporządzenie o ochronie lokatorów. W związku z tem Senat wydał odezwę, przestrzegającą właścicieli nieruchomości przed wyzyskiem lokatorów.

### Połączenie Tczewa z Gdańskiem i Gdynią

Polskie Towarzystwo żeglugi „Vistula" nabyło statek „Carmen", który wspólnie z innemi statkami utrzymywać będzie regularną komunikację między Tczewem Gdańskiem i Gdynią.

### Sól polska na rynku gdańskim

Sól polska wyparła już niemal całkowicie z rynku gdańskiego sól niemiecką. Obecne zapotrzebowanie Gdańska — tak co do soli jadalnej jak i zwierzęcej i chemicznej jest pokrywane w 78% przez polski monopol solny.

### Wywiad z prezydentem Senatu W. M. Gdańska Dr. Rauschningiem

„Der Danziger Vorposten" oficjalny organ Wolnego Miasta ogłasza wywiad z prezydentem Senatu W. M. Dr. Rauschningiem. Pomiędzy innemi p. Rauschning twierdzi, że naprawdę trwałe porozumienie polsko-gdańskie wymaga podwalin duchowych. Przed kilku tygodniami powstało w Gdańsku pod przewodnictwem p. Rauschninga Towarzystwo badania Polski. Jest to próba zbliżenia duchowego. Istnieje projekt, aby zaproponować wybitnym osobistościom polskim członkostwo honorowe.

### Gedania pozostaje w lidze

Ostatnia przegrana „Viktorii—Elbing" z „Rasensport Preussen" w stosunku 8 : 3 zadecydowała o pozostaniu Gedani w Lidze. Na przyszłość jednak musi drużyna polska dołożyć wszelkich starań, ażeby zachwianą swoją pozycję nietylko utrzymać, lecz wydatnie poprawić.

### Gdańsk przyłącza się do polsko-amerykańskiego traktatu przyjaźni

Według doniesień z Waszyngtonu, departament stanu ogłosił tekst noty wręczonej ambasadzie polskiej o przyłączeniu się Gdańska do traktatów przyjaźni zawartych swego czasu między Polską a Stanami Zjednoczonemi. Przystąpienie Gdańska do traktatów weszło w życ w dniu 24. marca 1934 r

*Gdańsk — Widok ogólny*



# Pomóżcie zbudować w Gdyni Bazylikę Morską!

Hasło wybudowania w Gdyni wielkiego kościoła-bazyliki o znaczeniu ogólno-narodowem, rzucono już 10 lat temu. Było ono tak słuszne, że trafiło odrazu do przekonania ogółu. Hasło to stanowiło niejako ujęcie w słowach tego, o czem wszyscy podświadomie myśleli i co zgadzało się z intencjami ludzi czujących i myślących po polsku i katolicku.

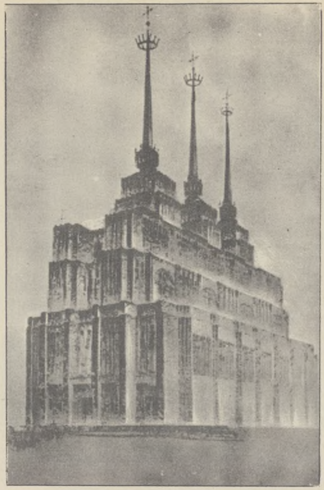
Gdynia, będąca jedyną reprezentantką naszego narodu i Państwa w ogólno światowym handlu morskim, musi również godnie reprezentować i jego stosunek do religji — i to nietylko wobec własnych obywateli, lecz również i wobec obcokrajowców, którzy na swych okrętach do naszego portu tak licznie zawijają. Gdynia jest naszą stolicą morską i stanowi widome ogniwo łączące nas z morzem. Tutaj znajdują swój wyraz i ogniskują się wszystkie uczucia, jakiemi nabrzmiewa pierś każdego Polaka na myśl o własnem morzu, utraconem ongiś i znowu odzyskanem przez wskrzeszenie niezależnego Państwa polskiego i połączenia wszystkich jego dzielnic.

Znaczenie Gdyni potęguje się i dlatego jeszcze, że odbywają się tutaj i nadal będą się odbywać wszystkie wielkie zjazdy o charakterze państwowym i narodowym. Tutaj mają miejsce uroczystości związane ze świętem morza. Wszystkie te uroczystości i zjazdy muszą mieć odpowiednie do liczby uczestników, obliczanych na dziesiątki tysięcy, tło i ramy. Takiem tłem ma być Bazylika morska. Pozatem będzie ona pomnikiem odzyskania morza polskiego i zjednoczenia go z wszystkiemi ziemiami polskiemi.

Na wszystko jednak trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Ażeby te pieniądze zdobyć i ideę budowy Bazyliki morskiej zrealizować, zawiązało się w Gdyni Towarzystwo pod nazwą: „Towarzystwo Budowy rz.-kat. Bazyliki Morskiej jako pomnika odzyskania morza". W skład towarzystwa weszły wybitne osobistości, reprezentujące Gdynię, a mianowicie: Ks. dziekan Turzyński, dyr. Urzędu Morskiego inż. Stanisław Łęgowski, dyr. B. G. K. Władysław Grabowski, prez. Izby Przem.-Handl. Napoleon Korzon i inni.

Wybrano miejsce pod budowę. Wybór padł na wzgórze Kamiennej Góry, dominujące ponad miastem i oddalone zaledwie o kilkaset metrów od morza.

To położenie da Bazylice odpowiedni stosunek do miasta. Monumentalny jej gmach będzie już z daleka widocznym dla nadpływających okrętów, znacząc Gdynię swą oryginalną sylwetką.



*Projekt Bazyliki Morskiej w Gdyni*

Rozpisany konkurs na projekt Bazyliki dał pozytywny rezultat. Jury konkursowe, składające się z wybitnych osobistości i znawców architektury na czele z księdzem biskupem chełmińskim, dr. Okoniewskim i p. ministrem przemysłu i handlu F. Zarzyckim, przyznało pierwszą nagrodę pracy prof. inż. Bogdana Pniewskiego z Warszawy, zatwierdzając nagrodzoną pracę jako nadającą się do budowy.



*Wnętrze projektowanej Bazyliki*

Nagrodzony projekt przedstawia Bazylikę w formie trzynawowego kościoła. Płaskie krzyżowe sklepienia, przykrywające nawy, opierają się na dwóch szeregach słupów o krystalicznych kształtach zgrubiających się ku górze. Środkowa najwyższa nawa posiada trzy latarnie, zakończone od zewnątrz wysokiemi sterczynami, niosącemi emblematy kościelne i korony. Te trzy wieżyce, umieszczone na wspólnej nawie, nadają sylwecie Bazyliki specyficznie indywidualne piętno, które będzie się wybitnie uwydatniać w ogólnej sylwecie miasta widzianego od strony morza. Mury świątyni będą wykładane wewnątrz krajowym alabastrem, zewnątrz zaś jasnym piaskowcem, który będzie błyszczał w słońcu.

Bazylika pomieści około trzy tysiące osób. Wewnątrz świątyni projektowane są trony dla p. Prezydenta Rzpl. i dla ks. Biskupa, oraz miejsca specjalnie przeznaczone dla dostojników państwowych i delegacyj. Zewnątrz kościoła będzie ustawiony ołtarz polowy. W obrębie Bazyliki pomieści się swobodnie 30.000 osób. Bazylika będzie według planu połączona z miastem monumentalnemi schodami oraz dojazdami i drogami dla pieszych. Koszta budowy zostały obliczone na trzy miljony złotych. Pierwszy etap budowy, który ma się rozpocząć już w bieżącym lecie, wyniesie około miljona zł.

Jednakże komitet nie rozporządza jeszcze tak wielkiemi sumami i wobec tego jest zmuszonym odwołać się do ofiarności publicznej.

Stańmy więc do szeregu! Niech popłyną chociażby najskromniejsze datki. Pokażmy, że potrafimy ocenić wzniosły zamiar przysporzenia narodowi naszemu po wieki trwałej pamiątki, przypominającej nam zawsze ten historyczny dzień odzyskania naszego polskiego morza!

P. S. Popierając odezwę Komitetu budowy Bazyliki Morskiej w Gdyni, Redakcja naszego czasopisma zwraca się z gorącym apelem do wszystkich naszych czytelników, ażeby pośpieszyli na wezwanie i przyczynili się chociażby najdrobniejszemi datkami do zbożnego dzieła. Pieniądze należy nadsyłać do naszej redakcji na specjalnie w tym celu utworzone konto lub wprost do Banku Gospodarstwa Krajowego w Gdyni P. K. O. Nr. 170.158.

Bohdan T. Lepecki / Warszawa



# Szlakiem polskich conquistadorów

## Z Rio de Janeiro do Kurytyby...

Po wielu miesiącach pobytu w pięknej stolicy brazylijskiej, po odbyciu szeregu interesujących ekskursyj po stanach Rio de Janeiro, Sao Paulo i Minas Geraes, postanowiłem zwiedzić południe Brazylji, a zwłaszcza stan Parana, który nęcił mnie swojem mało jeszcze zbadanemi lasami, w 80°/₀ pokrywającemi jego powierzchnię. Natychmiast po powzięciu decyzji poczyniłem wszelkie niezbędne przygotowania do tej dalekiej podróży i wyruszyłem w drogę.

Dwoma szlakami można wędrować z Rio de Janeiro do Parany. Najszybciej dojeżdża się koleją, jadąc przez Sao Paulo, Itarare, Ponta Grossę do stolicy stanu — Kurytyby. Tej drogi nie polecam nikomu, kto nie jest przyzwyczajony do podróżowania kolejami brazylijskiemi. Jeżeli nie chorował na chorobę morską w czasie podróży przez Atlantyk, napewno będzie cierpiał na nią w trzęsących wagonach kolei wąskotorowej, łączącej Ponta Grossę z Kurytybą. Jazda pociągiem brazylijskim, to męka nie do opisania.

Wyjątkiem od tej reguły jest kolej Central Brazil, łącząca Rio de Janeiro z Sao Paulo. Znacznie milsza i przyjemniejsza jest podróż statkiem brzegowym z Rio de Janeiro do parańskiego portu Paranagua, skąd w ciągu kilku godzin można dojechać koleją górską do Kurytyby. Zresztą jazda okrętem jest znacznie tańsza i ten wzgląd zadecydował ostatecznie o wyborze drogi.



*Pinjory parańskie*

Pewnego skwarnego południa wsiadłem na niewielki statek brzegowy „Santos", utrzymujący stałą komunikację między portem amazońskim Manaos a Buenos Aires i zatrzymujący się po drodze również w Rio de Janeiro i Paranagua i pojechałem na południe, w stronę terenu mych przyszłych eksploracyj.

Podróż małym brzegowcem, w czasie pięknej pogody, nie przedstawia nic osobliwego. To też przez pierwszy dzień drogi, aż do Santos, gdzie statek nasz zatrzymał się w celu nabrania ładunku kawy, przeznaczonej do Argentyny, podróż była dosyć monotonna. Co chwila ukazywały się górzyste brzegi pobliskiego lądu brazilijskiego, aby za moment zniknąć w mgłach oddalenia.

### W największym porcie kawowym świata

Bardziej malowniczy był wjazd do portu. Wyobraźmy sobie wąską, kiszkowatą zatokę, zakręconą nieco przed miastem, a będziemy mieli obraz wód, nad któremi rozłożył się ten największy kawowy port świata. Koło południa dojechaliśmy do składów Nr. 1, do których przybijają statki Lloydu Brazylijskiego. Kiedyś, przed kryzysem kawowym, port w Santos kipiał życiem. Całemi sznurami zajeżdżały doń statki po kawę, przywożąc wzamian produkty przemysłu europejskiego i północno-amerykańskiego. Obecnie, wskutek katastrofalnego spadku cen tego głównego artykułu wywozowego Brazylji, ruch w porcie spadł do minimum. Koło nielicznych, stojących na przystani okrętów, wałęsały się tłumy bezrobotnych tragarzy, wypatrujących rozgorączkowanemi oczyma na jakąkolwiek sposobność zarobienia milrejsa (milrejs — brazylijska jednostka monetarna, odpowiadająca 43 groszom). Olbrzymie składy okrętowe

*Kurytyba — Uniwersytet*



stały pustką lub były wypakowane bezwartościową kawą.

Korzystając z godzinnego postoju statku, udałem się do miasta i tu, podobnie jak i w porcie, przygnębiła mnie rzucająca się w oczy martwota. Na wielkich, szerokich, dobrze zabudowanych ulicach snuły się gromadki nędzarzy, z zazdrością spoglądających w okna wystawowe bogatych magazynów, dawniej przepełnionych publicznością, dziś wzbudzających tylko pożądliwość ofiar kryzysu. Czy tłumy te długo jeszcze zachowają wrodzoną „calma brasileira“ („chłód brazylijski“)? Czy pamięć o dawnym dobrobycie, tak niespodziewanie utraconym, nie popchnie ich do jakichś szalonych wystąpień, od których zabroczą się krwią wspaniałe avenidy umierającego portu? Niedaleka przyszłość odpowie na to ciekawe pytanie. (Wkrótce potem wybuchła krwawa rewolucja w kawowym stanie Sao Paulo, stłumiona dopiero po trzech miesiącach zacieklych walk, w których brała udział cała armja brazylijska.)

* * *

Zmęczony widokiem nędzy i upadku pojechałem nad wielką plażę, uważaną słusznie za jedną z piękniejszych w Brazylji. Plaża w Santos ciągnie się na przestrzeni kilku kilometrów szerokim pasem wzdluż oceanu Atlantyckiego. W niektórych miejscach osłaniają ją od gwałtowności fal morskich małe wysepki, półwyspy lub skały. Jest dosyć twarda, gliniasta i różni się tem od piasczystej plaży Copacabana w Rio de Janeiro. Nie można się wylegiwać na niej tak przyjemnie jak na Copacabanie, ale zato teren jej świetnie nadaje się do przejażdżki na rowerze, koniu lub samochodzie. Wzdłuż plaży zbudowano w czasach pomyślności gospodarczej mnóstwo wspaniałych willi, hoteli i pensjonatów, których mieszkańcy wprost z domu udają się do kąpieli Dzisiaj wiele z tych domów stoi pustkami. Mało kogo stać na opłacanie nawet bardzo zredukowanego czynszu mieszkaniowego.



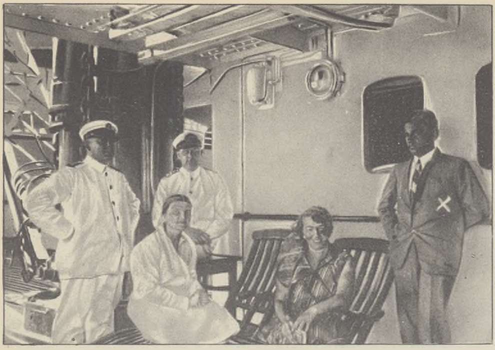
*Wybrzeże morskie w pobliżu portu w Santos*



*Port Paranagua*

Po władowaniu ostatniego worka kawy, zajęczały maszyny „Santosu“ i statek znowu wyjechal na szerokie wody Atlantyku, kierując się wprost do Paranagua. Jakby dla przekonania mnie, że i podróż morska nie zawsze bywa przyjemnością, zerwała się silna wichura i ciskała naszym stateczkiem na wszystkie strony. Kląłem na czem świat stoi i przysięgałem, że nigdy nie pojadę brzegowcem. Wreszcie zmęczony, schorowany, udalem się do kabiny i przedrzemałem do rana. Kiedy obudziłem się, „Santos“ wjeżdżał do ogromnej zatoki Paranagua.

Na horyzoncie zamajaczyła poszarpana linja brzegowa Parany. Z mglistych oparów wczesnego ranka zaczęły



*Bohdan Lepecki na statku po wyjeździe z portu Rio de Janeiro*

wyłaniać się potężne szczyty gór Sierra do Mar, oddzielających duszne, wilgotne i febryczne Pomorze parańskie od chłodnego i zdrowego wnętrza kraju. „Santos" zbliżył się do wysp, zamykających zatokę Paranagua od strony Atlantyku.

## Raj dla Robinsonów

W dzieciństwie z zachwytem czytałem o przygodach Robinsona na wyspie bezludnej. Przysięgałem sobie, że skoro urosnę, pojadę do „ciepłych krain", siądę na okręt, który rozbije się na brzegach bezludnej wyspy, nie utonę jednak, lecz pozwolę się falom wyrzucić na brzeg i zaznam wszystkich przygód, których tak zazdrościłem Robinsonowi Kruzoe. Z biegiem lat tęsknota za przygodą słabła, traciła na swej namiętnej sile. Teraz jednak, kiedy w całej przecudnej okazałości podzwrotnikowej ujrzałem, wyłaniające się z niepokalanie lazurowych wód fal morskich, zielone bukiety wysp okalających zatokę Paranagua, jak żywe stanęły mi przed oczyma marzenia dzieciństwa. Jedna przy drugiej rozsypały się duże, średnie i zupełnie małe wysepki zarosłe palmami, pełne malowniczych zatok i złocistych plażek. Na jednych mieszkali już ludzie w prymitywnych, glinianych chatkach, wiele jednak — zwłaszcza mniejszych — było zupełnie bezludnych. Niektóre były tak maleńkie, że przez przezroczysty gaik widać było morze, omywające przeciwny brzeg wyspy. Tylko wysiąść i zacząć życie Robinsona.

Znając stosunki brazylijskie, wiedziałem, że niktby nie niepokoił takiego pustelnika. Owoców dostarczałyby krzewy bananowe, ryb i krewetek — ocean, słowem możnaby żyć jak w raju utraconym. Ogarnęła mnie silna pokusa, cisnąć wszystko do djabła i żyć życiem wolnem i nieskrępowanem. Spojrzałem z zachwytem na wysepki. Wyglądały cudownie. Najrozmaitsze rodzaje palm, krzewów, ljan i kwiatów złożyły się na to, aby nadać im jaknajbardziej barwnego kolorytu.

Niestety zbyt wiele z biegiem lat komplikuje się życie ludzkie, aby go łatwo było można wykoleić ze zwykłych torów. Nie wysiadłem z okrętu i nie zbudowałem chatki w cieniu drzew bananowych.

Nie wiem, czy kiedy zostanę Robinsonem. Zwracam jednak uwagę młodych marzycieli na bezludne wysepki w zatoce Paranagua. Można tam bez wielkich przeszkód pędzić życie samotne. Tylko proszę się spieszyć, bo świat zaludnia się bardzo szybko i rychło już siekiera drwala zacznie rąbać pnie palm, wystrzelających zielonemi bukietami z fal Atlantyku.

## Paranagua — główny port stanu Parana

Port Paranagua nie jest należycie urządzony i nawet małe stateczki w rodzaju naszego „Santosu" nie mogą przybijać do brzegu. Podobno brakuje jeszcze 4 miljonów milrejsów, których w żaden sposób nie można wydobyć z pustych kas stanu Parana. Stanęliśmy w pewnej odległości od wybrzeża, skąd dopiero prywatną motorówką, za opłatą 3 milrejsów, dostałem się do miasta. Lloyd Brazylijski nie uważa za wskazane dostawienie pasażerów do brzegu. Gdyby komuś zabrakło pieniędzy, musiałby chyba wpław dostać się do lądu. Na odjezdnem pasażerowie, pozostający jeszcze na statku, żegnali odjeżdżających, okrzykami: „Smacznego, dobrych kamaronów w Paranagua" (kamaron — camarao — po portugalsku krewetka). Według powszechnej opinji w zatoce Paranagua łowią najsmaczniejsze krewetki w całej Brazylji. Postanowiłem, po przybyciu na ląd, sprawdzić, czy ta opinja jest należycie uzasadniona.

Paranagua, rozrzucona na bagnistem wybrzeżu morskiem, zdumiewa spokojem i absolutnym brakiem ruchu. Dość porządnie zabrukowane ulice, porastają trawą. Pusto na nich jak we wsi purytańskiej w czasie niedzielnego nabożeństwa. Senni przechodnie snują się zrzadka po stosunkowo szerokich, zalanych słońcem chodnikach. Na całem mieście widnieje piętno jakiejś starzyzny i opuszczenia. Nawet statki brzegowe wyładowują swój towar powoli, beznamiętnie w myśl starej maksymy brazilijskiej, że *„przecież czas nie jeleń, nie ucieknie"*. Nowoczesne magazyny, których kilka znajduje się na głównych ulicach miasteczka, wydają się kwiatkami śmiesznie przypiętemi do kożucha. Główny port stanu Parana nie świadczy swoim wyglądem, aby eksport morski tej krainy przybierał kiedykolwiek większe rozmiary.

*Port Rio de Janeiro, z którego odchodzą okręty w różne strony świata*



Motorówka przybiła do brzegu o godzinie 9-ej rano, pociąg do Kurytyby, następnego etapu mej podróży, odchodził dopiero wieczorem. Miałem dosyć czasu na zwiedzenie miasteczka. Zatrzymałem się w gospodzie p. Gradowskiego, położonej nad brzegiem morza. Upał dokuczał nieznośnie. Z nadmorskich zarośli mangrowiowych dolatywały duszne podmuchy, cuchnące zgnilizną i błotem. Niemal dotykalnie czuło się febrę, tego największego wroga cudzoziemskich kolonistów, którzy skolonizowali wyżynne wnętrze Parany, ale nie potrafili stąpnąć pewniejszą nogą na nizinnem i bagnistem wybrzeżu. Znałem z książek opisy gąstwin mangrowiowych, dopiero jednak w Paranagua miałem sposobność obejrzenia ich zbliska. Z powodu miękkości i błotnistości tenenów, na których wyrastają z reguły krzewy mangrowiowe, korzenie tych drzewek wystają przeważnie nad ziemią tworząc misterne rusztowania ułatwiające zielonym koronom utrzymanie się w powietrzu i uchronienie od zatopienia w czasie przypływów morskich. Wdychając ciężkie powietrze bagnistego wybrzeża, pomyślałem, że o ile z przyjemnością posiedziałbym na jednej z wysepek u wejścia do zatoki, gdzie wieją rzeźwe wiatry z pełnego morza, o tyle za nic w świecie nie chciałbym mieszkać w Paranagua, w pobliżu bagien i zionących zgnilizną mokradeł.



*Jedna z ulic w Santos*

Upał dokuczał nieznośnie choć była to dopiero druga połowa października. Po kilkugodzinnym spacerze po mieście, wróciłem do gospody napół żywy ze zmęczenia. Odsapnąwszy nieco, zasiadłem do obiadu w czasie którego, zgodnie z mojem życzeniem, podawano kamarony, kamarony i jeszcze raz kamarony. Zakosztowałem kamaronów smażonych, przegryzłem gotowanemi, aby wziąć się z całym zapałem do zapiekanych w cieście. Obecnie, w sposób jaknajbardziej autoratywny stwierdzam, że sława krewetek z Paranagua jest najzupełniej uzasadniona. Gospodarz usiłował mnie skrzepić jeszcze olbrzymim krwawym befsztykiem, twiedząc, iż krewetki to nie jedzenie, ale przekąska, z żalem jednak musiałem odmówić jego prośbie. Nie miałem ani centymetra wolnego miejsca w „zakrewetkowanym" żołądku.

Pod wieczór wyjechałem z Kurytyby. Droga prowadziła początkowo przez bagniste równiny nadmorskie. Poprzez niskopienne, krzewiaste, podmokłe bory sączyły się leniwie strugi brudnobłotnistej wody. Miejscami, na brzegach lasu, zwieszały się ljany, splątające drzewa w miłosnym uścisku. Kolorowe, żółte i czerwone kwiaty pokrywały szereg drzew, nieznanego mi gatunku i urozmaicały monotonne nieco szarozielone tło lasu. Z lokomotywy, opalanej drzewem, sypały się snopy iskier, wpadających przez otwarte okna do wagonu i wypalających dziury w ubraniach.

*Paranagua — Główna ulica*



## Przez góry Sierra do Mar

Po godzinnej jeździe dotarliśmy do podnóża gór Sierra do Mar. Pociąg powoli zaczął drapać się pod górę. Powietrze stawało się rzeźwe i przyjemne. Rzeki, tak leniwe i brudne na nizinach nadmorskich, toczyły się żywiej i były coraz czyściejsze.

Droga kolejowa przez góry Sierra do Mar należy bezsprzecznie do najpiękniejszych na świecie. Pociąg przebiega nad przepaściami, których sam widok przyprawia o zawrót głowy, przemyka się dziesiątkami tuneli — nieraz, wybiegając z jednego, wpada wprost do drugiego ciemnego otworu. Mija nieskończone mnóstwo większych i mniejszych wodospadów, tonie w gęstwinach puszczy podzwrotnikowej, wdziera się na zawrotnie wysokie przełęcze gór, tuli się trwożnie do nagich skał, ucieka od przepaści, straszliwych jak czeluście piekielne. Zdumione oczy nie wiedzą czem się więcej zachwycać.

Brazyljanie, jadący ze mną w wagonie, dowiedziawszy się, że jestem cudzoziemcem, ustąpili mi najlepsze miejsce koło okna.

— *Proszę podziwiać* — mówili ze słuszną dumą.

Cieszyli się jak dzieci z mojego zachwytu, delektując się pochwałami, których nie szczędziłem przesuwającym się przed oczyma krajobrazom.

Po przebyciu najwyższych przełęczy, pociąg powoli zaczął zjeżdżać na wyżynę kurytybską. Góry Sierra do Mar, tak strome i niedostępne od strony oce-

anu Atlantyckiego, były zupełnie łagodne i obłaskawione od strony płaskowyża, rozpościerającego się na zachodzie. Zbite gąszcze liściastej zieloności podzwrotnikowej ustępowały rzadkim, podszytym nawet miejscami trawą, lasom klimatu umiarkowanego. Przeskok między roślinnością i klimatem dusznego i gorącego parańskiego Pomorza a świeżej i chłodnej wyżyny kurytybskiej był tak wielki, że nie mogłem oczom uwierzyć. Przecież jeszcze przed dwoma godzinami dyszałem z gorąca w gospodzie Gradowskiego i spoglądałem na febryczne gąszcze mangrawiowe, a tu mam wrażenie jakbym powrócił z ciepłych krain do starej, kochanej Europy. Żeby złudzenie było jeszcze większe, na horyzoncie ukazały się wielkie dostojne drzewa iglaste — *pinjory*, tak charakterystycznych dla wyżu parańskiego. Gorące, podzwrotnikowe Pomorze parańskie znikło poza zębatemi szczytami gór Sierra do Mar. Zbliżaliśmy się do Kurytyby, stutysięcznej stolicy stanu Parana.



*Droga przez góry Sierra do Mar*

MICHAŁ MORENA / GDYNIA

# POLACY W CASABLANCA

## Z PODRÓŻY STATKIEM „POLONIA" DO AFRYKI

Noc... Na niebo usłane gwiazdami wypłynął wielki księżyc i rzucił swe odbicie w ciemne fale Atlantyku. Na zlewającym się z oceanem horyzoncie migają w regularnych odstępach czasu światełka latarń morskich. Na statku cisza... Tu i ówdzie, na pokładzie snują się tajemnicze cienie i cicho, szeptem prawie porozumiewają się ze sobą. Czuć w ich rozmowie pewne zniecierpliwienie.

Dlaczego my tak powoli płyniemy?

Widać, że im się nie śpieszy...

A o której będziemy w Casablance?

Powiadają, że o szóstej, ale to wcale nie jest pewne. Czeka nas zresztą cała masa różnych przyjemności. Formalności paszportowe, odprawy celne i inne tym podobne zawracanie głowy. Dalibóg, aż człowieka djabli biorą. Myśli sobie człowiek: Zapłaciłem grube pieniądze, a więc będę miał wygodę i odpocznę sobie, a tu masz djable kaftan! Okręt wlecze się jak żółw, ciągła dyscyplina, chodzenie partjami na obiad i schodzenie partjami z okrętu — z prawej burty, z lewej burty... i rób co chcesz...

A czy będą przynajmniej auta na [illegible]?

Mam wrażenie, że będą! Wycieczka wyjeżdża dopiero o godzinie ósmej. Wie pan co? Może lepiej chodźmy się wyspać. Do rana jeszcze daleko a i tak się niczego nie doczekamy...

Może pan ma i rację. Chodźmy...

Błąka się w nas niesamowita wprost żądza zwiedzania obcych krajów. Chcielibyśmy odrazu wszystko zwiedzić. Jesteśmy poprostu nerwowi i nieznośni. Mamy największe wymagania, krytykujemy wszystko i nic nam się nie podoba.

Trzeba zobaczyć, co się dzieje przy wysiadaniu ze statku na ląd. Ciśniemy się i pchamy naprzód, a kiedy już dotkniemy nogą lądu, rzucamy się na wyścigi do taksówek i autokarów. Każdy chce być pierwszym i zająć jaknajlepsze — w jego pojęciu — miejsce. Znika zupełnie, reklamowane tak często, poszanowanie dla płci pięknej. Ja płacę, ja wymagam! Lwy salonowe zamieniają się na zwykłe kundle...

* * *

Zaledwie tylko zaróżowił się poranek, a już całe masy ciekawych wyległy z kabin na pokład, ażeby jaknajprędzej zobaczyć — z taką niecierpliwością oczekiwany — ląd afrykański. W snach nocnych przedstawiano go sobie jako coś nadzwyczajnego, cud jakiś. A tymczasem ujrzano coś takiego mniej więcej jak nasza Gdynia. Niedokończone i piaskiem zasypane ulice, budujące się magazyny, mniejsze od naszych, przypomniały, że Casablanca jest portem również dopiero w stanie powstawania. Jedynie tylko widoczne zdala miasto i palmy, ciemne i opalone twarze oraz zawoje, fezy a także i ubiór trochę inny, aniżeli ten, do któregośmy przywykli, wskazywał nam, że jesteśmy w Afryce.

Na placu przed okrętem handlarze arabscy porozścielali swe maty i porozkładali swe puffy, fezy, kilimy oraz różne wyroby skórzane „Veritable Maroquin" a naturalnie bardzo często „Made" gdzieś tam w Marsylji albo nawet „in Germany". Pomiędzy nimi grupy ludzi, oczekujących na przybycie okrętu. Jedna z tych grup to rodacy, zamieszkali w Casablanca, którzy przyszli przywitać polski okręt i Polaków z kraju.

Zebrali się więc p. Goworowska, warszawianie oraz przedstawiciele innych stron Polski. A więc p. Baczyński, „lwowskie dziecko", który przed kilku laty pracował przy budowie gmachu Banku Gospodarstwa Kra-

*Rabat — Kawiarnia mauretańska w Casbie Udaja*





*Autor feljetonu, Michał Morena, robi wywiad na statku „P o l o n i a" podczas podróży do Afryki z najlepszą biegaczką świata Stanisławą Walasiewiczówną*

jowego w Gdyni. Przyjechał własnym samochodem p. Kotarba, majster cementowni, pochodzący z pod Krakowa, przywożąc ze sobą swego przyjaciela, Czecha — zdaje się p. Novaka —, który chciał również zobaczyć ludi z „naszych stron". Było i innych sporo, lecz nie wszystkie nazwiska utkwiły mi w pamięci.

Wszyscy oni bardzo chętnie zaofiarowali nam swoje usługi w charakterze przewodników, z czego naturalnie skwapliwie skorzystaliśmy i zwiedziliśmy Casablancę wzdłuż i wszerz.

Po drodze zrobiliśmy pewne odkrycie... Mianowicie przy rue de l'Aviation Francaise stoi dom oznaczony Nr. 186. Otóż w domu tym, na pierwszem piętrze, w niewielkim pokoiku mieści się czytelnia polska, która liczy obecnie około 40 członków. Czytelnia ta jest ośrodkiem całego kulturalnego życia polskiego w Casablanca a nawet w Marokku. Założoną została w roku 1932, głównie dzięki staraniom b. konsula honorowego Rzeczypospolitej Polskiej p. Konrada Rogójskiego. Ze skromnej bibljoteki i nielicznych czasopism czytelni korzystają wszyscy Polacy miejscowi i żołnierze Legji Cudzoziemskiej, którym na dalekie i niebezpieczne nieraz posterunki członkowie czytelni w swych autach prywatnych te książki rozwożą.

Polaków w Marokku znajduje się wcale pokaźna liczba. W pułkach Legji Cudzoziemskiej służy około 1.500 żołnierzy - Polaków. W Casablance mieszka 60-ciu z rodzinami, tworząc zżytą i zorganizowaną, afrykańską kolonję polską. Są to przeważnie robotnicy, którzy pośrednio przez Francję wyemigrowali do Marokka. Jest też garstka rzemieślników i inteligencji pracującej. Kilku architektów, lekarzy i aptekarzy. Warunki pracy mają tutaj dobre. Francuzi, którzy w Marokku są panami sytuacji, odnoszą się do Polaków bardzo przychylnie. Jeżeli może być mowa o jakichkolwiek trudnościach, to chyba tylko językowych.

Czytelnia polska w Casablance walczy z trudnościami finansowemi, gdyż skazaną jest na własne siły. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że młoda, będąca dopiero na dorobku i składająca się przeważnie z warstwy robotniczej, kolonja polska nie dysponuje żadnemi poważnemi kwotami, potrzebnemi na utrzymanie tej tak ważnej placówki, jaką jest czytelnia. Jednakże samopoczucie narodowe i dobra wola tej garstki ludzi sprawia, że życie społeczne rozwija się tu doskonale. W przyszłości mają zamiar przekształcić czytelnię na Klub Polski.

Skarżą się Polacy w Casablance, że Polska nic o nich prawie nie wie i nie interesuje się nimi. Był tutaj konsulat polski, ala został zlikwidowany. Czyżby utrzymanie polskiej placówki handlowej aż tak drogo kosztowało? Czy nie należałoby jej utrzymać chociażby dla obserwacji rynków tutejszych? Mam wrażenie, że możliwości eksportowe do Marokka istnieją. Bardzo intensywnie w tym kierunku pracują tutaj nasi pobratymcy Czesi, a nawet i Japończycy z Dalekiego Wschodu. Pewnie, że trudno robić zaraz stuprocentowe interesy, ale trzeba myśleć o przyszłości i już teraz przygotowywać teren.

Są jednak u nas ludzie, którzy interesują się Marokkiem. Czytałem w Casablance pewien kwestjonarjusz, w którym jakiś srogi i odważny myśliwy zapytuje się: „Czy można polować na lwy w Marokku?"

Brawo panowie! W czasach, kiedy panuje powszechnie zaraźliwa choroba narzekania na kryzys, są ludzie, których dobry humor nie opuszcza i nie mają większych zmartwień jak polowanie na lwy. Jeżeli chodzi o lwie pomysły, to mogę służyć dobrą radą:

Zamiast jechać na polowanie na lwy do Marokka, których, jak mi się zdaje, trudno by tam było znaleźć, to lepiej posłać te pieniądze na czytelnię polską w Casablance, a na polowanie pojechać do Peczyniżyna albo Synowódzka. Spełni się piękny i chwalebny czyn — a rezultat polowania będzie zapewne lepszy.

*Casablanca — Ulica w dzielnicy arabskiej*
*Typ bogatego Araba*



**Pisz swoje przeżycia, korespondencje, nadsyłaj fotografje do »Polaków w całym świecie«**

*Otto Finkenstein*
*Tancerz baletu Mary Wigman - Berlin*

*O sztuce tanecznej rozważań kilka*

# Przez ciało ku prawdzie

Taniec stał się jedną ze składowych części naszego codziennego życia. Tańczymy u siebie w domu, tańczymy odwiedzając innych, a już najwięcej spotykamy się z tańcem w różnych lokalach publicznych.

Prawie nie zdajemy sobie sprawy z tego, że to, co nazywamy „tańcem", należałoby właściwie nazwać „zabawą w taniec". Ten taniec towarzyski składa się z szeregu rytmicznych kroków, które, wykonywane w takt miłej i nie zmuszającej do skupienia muzyki, stanowią przyjemną zabawę ruchową tem bardziej ponętną, że nie pozbawioną większej czy mniejszej emocji erotycznej.

W kabaretach czy teatrzykach spotykamy się z drugim rodzajem tańca, z tak zwanym tańcem rewjowym. Tu już mamy do czynienia z prawdziwą pracą i wysiłkiem wykonawców, dla których najważniejszą satysfakcją i przyjemnością pośrednią są oklaski czy głosy uznania, jakiemi obdarza ich publiczność. Ta forma tańca stanowi przejście pomiędzy zabawą ruchową, zwaną tańcem, a właściwą sztuką taneczną.

Nieznaczna kultura taneczna, zupełny brak odpowiedniej propagandy u nas i niski na ogół poziom artystyczny tego co często nazywamy sztuką taneczną, sprawiły, że pojęcia tańca pokrywa się u szerokich mas w najlepszym razie z pojęciem baletu o mniej lub więcej rewjowym charakterze. Jest przy tem rzeczą ciekawą, że nie razi nas to nierozróżnianie tych trzech form tańczenia, chociaż oburzalibyśmy się, gdyby ktoś czytelnika gazety obliczonej na szeroki zbyt, stawial na równi z człowiekiem czytującym przeciętną literaturę i człowiekiem rozczytującym się w wartościowych a dla mas często niezrozumiałych utworach literackich.

Sztuka taneczna, to taniec wyrażający uczucia przez piękne ruchy ciała człowieka. Precyzja Girls-trup i wyczyny akrobatyki tanecznej ustępują tu miejsca sile mimiczno-ruchowego wyrazu jednostki czy grupy, dyskretnemu jej pięknu wewnętrznemu, uzewnętrzniającemu się w prostych, lecz wyraźnych ruchach estetycznych, co stanowi t. zw. psychoplastykę, przemawiającą raczej do uczucia niż tylko do oka widza.

Taki taniec podobny jest do muzyki. Jak bowiem wirtuoz-muzyk, posiadający choćby najwyższą technikę, ale nie dający odczuć w grze własnej szerokiej skali psychodynamicznej, nie robi na nas głębszego wrażenia, tak samo tancerz musi mieć przedewszystkiem duszę — a potem technikę. Największa bowiem umiejętność i wiedza rozbija się o brak wewnętrznego wibrowania, o brak duszy.

Każda myśl jest niewidzialnem napięciem duszy, które stara się spełnić na zewnątrz w wyrazie fizycznym — ruchu. Ale dzisiejszemu człowiekowi nie przychodzi łatwo ta expresja. Żyje on bowiem w dynamicznych krańcowościach, jako kurczowo zesztywniały lub jako obojętnie rozprężony. Trójca: umysł — dusza — ciało stoją często w drastycznym ze sobą konflikcie. Człowiek współczesny nierzadko przedstawia się umysłowo jako bohater, du-

*Kompozycja taneczna „Dziewczęca uległość"*



chowo jako żebrak, a cielesnie — niewolnik.

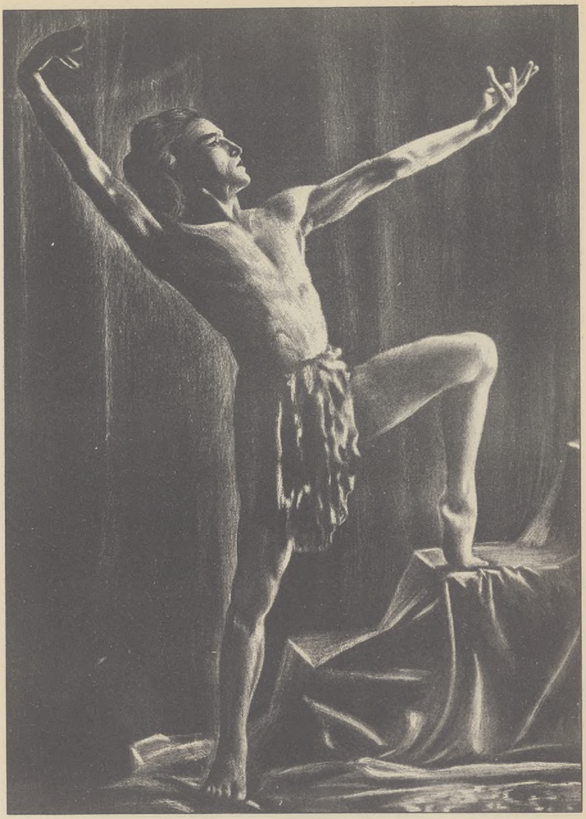
W parze z pięknem umysłu chodzi tęsknota ducha i cielesna brzydota. To też wbrew namiętnemu pragnieniu harmonji, umysł może ciążyć ku n. p. miłości, duch ku nienawiści, a ciało wyrażać walkę.

Te sprzeczności skłaniają człowieka do ukrycia siebie, takiego jakim jest, pod maską frazesu. Ale o ile łatwo jest kłamać słowem, bo przecież nie mamy kontroli, czy słowo odpowiada myśli i uczuciu, o tyle trudniej jest kłamać ruchem i gestem, choćby dlatego, że nie panujemy nad odruchami. To też możnaby nawet propagować odkłamywanie człowieka przez budowanie w nim prawdy od strony ciała i ruchu. W tym wypadku „słowo" (prawda) stałoby się niemal dosłownie — ciałem. W takiem ujęciu tkwią już nietylko artystyczne, ale i pedagogiczne wartości sztuki tanecznej.

Ta expresja prawdy jest postulatem sztuki tanecznej.

Przypominają mi się słowa mojej mistrzyni Mary Wigman, która niezadowolona z tancerki, odtwarzającej w kompozycji tanecznej ból, mówiła: „Nie chcę setnego wydania Niobe, proszę o pierwsze wydanie siebie". A więc odnalezienie siebie — oto fundament twórczości tanecznej.

W literaturzy często mówi się o oryginalności i szczerości. Oba te pojęcia są — pomimo namiętnych dyskusyj — dla literatów nieuchwytne i nadal pozostają literacką nieokreślonością. W tańcu oryginalność i szczerość mają jedną nazwę: prawda. Kto bowiem nie tańczy oryginalnie, ten kopjuje czyli kłamie. Szczerość i oryginalność są tu pokrywającemi się pojęciami.



*Kompozycja taneczna „Słońce"*

Ta prawda tańca jest nieodzownym elementem sztuki tanecznej. Żadna bowiem ze sztuk nie jest tak ściśle związana z osobowością człowieka, jak sztuka taneczna. Laikowi wydaje się często, że istnieje jeden lub wiele szablonów techniki tanecznej, które wystarczy opanować, aby być dobrym tancerzem. Sądzi on, że talent tancerza wyraża się głównie w opanowaniu technicznych trudności. Niewątpliwie opanowanie tych trudności technicznych jest alfą i omegą tańczenia, ale jest tylko tem, czem dla literata jest umiejętność czytania i pisania. Prócz tych podstaw technicznych istnieje bowiem niejako technika indywidualna, styl taneczny, który odpowiada stylowi literackiemu. O ile zaś w literaturze można dość obficie korzystać z cudzych stylów dla stworzenia wystarczających pozorów własnego oryginalnego stylu, o tyle w tańcu styl własny jest niemal równoznaczny z talentem tancerza. Reasumując, możemy powiedzieć:

Przeciętnie kulturalny człowiek lubi taniec i chętnie tańczy, bo jest on dla niego przyjemną zabawą ruchową i towarzyską. Oklaskuje taniec „rewjowy", bo zaspakaja on przeciętność naszych potrzeb estetycznych i zadziwia niejednokrotnie techniką wykonawców.

Nie rozumie jednak głębi sztuki tanecznej. A może najwyższą wartością tej sztuki jest budowanie prawdy w człowieku od realnej podstawy: przez ciało?



*Rowina, tancerka grupy baletowej Mary Wigman, odtwarzająca „szalejącą boleść“*

# Z Jerozolimy do Jerycha...

Drogę z Jerozolimy do Jerycha odbyć można samochodem lub końmi. Nie mając jednakże do szoferów tubylczych i ich samochodów wielkiego zaufania, wynajęliśmy konie. Podróż końmi zresztą więcej odpowiada charakterowi tego kraju i epoki, którą nam przypomina.

*Widok na „Górę Pokuszenia“*



Do takiej podróży wybiera się zwykle dnie po dżdżystej nocy, które tutaj do połowy marca nie są rzadkością. Jako przygodny towarzysz podróży przyłączył się do nas pewien Franciszkanin z Jerozolimy, który okazał się wytrawnym przewodnikiem. Był on również bardzo zadowolony z tego, że podróży nie musiał odbywać sam, gdyż okolica ta po dziś dzień jeszcze słynie z napadów zbójeckich, a i przybysze żydowscy w bezwstydny sposób zaczepiają zakonników, obrzucając ich częstokroć nawet kamieniami.

Pozostawiając Jerozolimę z jej warownemi murami i wspaniałemi bramami po prawej stronie, skręcamy w dolinę Józefata, gdzie z pomiędzy licznych grobowców na pierwszym planie widoczny jest grobowiec Absaloma z potężnemi filarami.

W czasie południowym przybyliśmy do Jerycha, przed którem zauważyliśmy kilka ognisk i szereg namiotów koczujących tam Beduinów, które tylko na znaczniejszą odległość roztaczają urok poezji i malowniczości, bo z bliska swoim brudem i niechlujstwem budzą wprost odrazę. Obecne miasto znajduje się w oddaleniu 20 minut od zburzonego. W języku tu-

bylczym nazywa się „Er' riho" czyli „Pachnące". Jest to może jedyne miasto orjentalne, które słusznie nosi swą nazwę. Wszystkie ulice przenika miła woń mimozy oraz kwiecia drzew pomarańczowych i cytrynowych, a ciemno-zielone zarośla przepełnione są różnorodnemi krzewami egzotycznemi. Ponad niskiemi, sitowiem krytemi domkami wznoszą się wspaniałe palmy, biało i różowo kwitnące akacje, morwy i wierzby, oraz drzewa oliwne i figowe.

Piękną i urodzajną jest kraina nad Jordanem, niestety żyzność gleby zbyt mało jest wyzyskana. Większa część tubylców woli żebrać po ulicach lub wylegiwać w słońcu, które jedyne tutaj sumiennie pracuje...

Po spożyciu obiadu w hotelu „Gilgal" wyjechaliśmy ku Morzu Martwemu. W jednej z opuszczonych chat rybackich zrzuciliśmy z siebie ubranie i poszliśmy do wody. Woda ta z powodu wielkiej zawartości soli jest tak ciężka, że nie możnaby w niej utonąć, a ma okropnie przykry smak i strasznie w oczy gryzie. Doznałem tam nawet i pewnego rozczarowania: Gdy w latach dziecięcych opowiadał mi ojciec o Morzu Martwem, lubiał dodawać: „cała okolica jest na popiół spalona; przelatujące nad nią ptaki spadają martwe na ziemię; na drzewach rosną piękne czerwone owoce, lecz gdy się po nie sięgnie, rozsypują się w pył." Romantyczych tych rzeczy jednakże jakoś nie dostrzegłem...

Po zwiedzeniu źródła Elizeusza, z którego tryska bardzo czysta i chłodna woda, rzekomo przez Elizeusza soli pozbawiona, zbliżamy się powoli ku górze, na której Chrystus 40 dni pościł i modlił się, a z której mu szatan pokazywał bogactwa ziemi. Wąskie, zygzakowate ścieżki prowadzą na strome



*Dolina Józefata*

wzgórze wznoszącej się w rodzaju bastjonu skały. Nieomal na szczycie skały znajduje się klasztor św. Jerzego, zbudowany przez greckich mnichów i przez nich po dziś dzień zamieszkiwany.

Po poczęstowaniu nas pomarańczami i kawą, jeden z mnichów oprowadzał nas po klasztorze, pokazując nam jego cenne poniekąd zabytki. Wspaniały i rozległy był widok na dolinę Józefata z zwiszającej na murze klasztoru altanki, zbudowanej w rodzaju gondoli z drzewa i krat żelaznych.

W drodze powrotnej zaskoczył nas szalony wicher, unoszący wielkie tumany kurzu, który zwłaszcza koniom ogromnie dokuczał. Gdy mowa o tutejszych koniach, przychodzą może niejednemu na myśl owe „Araby" krwi pełnej, o których nasłuchaliśmy się i naczytali tyle. Konie nasze jednakże przedstawiały okropny widok. Obudzające litość, wychudzone jak szkielety zwierzęta pokryte były licznemi ranami na grzbietach, spowodowanemi osiadającym się pod trokami kurzem, który w połączeniu z potem żre skórę, tworząc rany, które wskutek nieustannego tarcia krwawią i stają się coraz boleśniejsze.

Dziękowaliśmy Bogu, kiedy po 6-godzinnej „podróży" ujrzeliśmy znów światła Jerozolimy.

*Jerozolima, 13. III. 1934 r.*

*Piotr Karwat*

**DR. EUGENJUSZ ZDROJEWSKI**

# SZKOŁA POLSKA ZAGRANICĄ

*Autor poniższego artykułu, radca Ministerstwa W. R. i O. P. p. dr. E. Zdrojewski, jest znanym działaczem polskim, który przez szereg lat rozwijał energiczną działalność społeczną i oświatowo-kulturalną na terenach zagranicznych.*

*Redakcja.*



*Nowy zarząd Polskiego Towarzystwa Orjentalistycznego w Charbinie*
*Siedzą: F. Ożdżeński, H. Pelcowa, inż. K. Grochowski (prezes), A. Łyżwa, W. Pelc.*
*Stoją: G. Sadkowski, H. Kopaliński, K. Żeleźniak.*

Od piętnastu lat naród polski żyje w odrodzonem własnem państwie, borykając się nieraz z trudnościami i niedostatkiem, szczęśliwy jednak, bo niezależny. Nie całego narodu polskiego szczęście stało się udziałem. Z przeszło trzydziestu miljonów Polaków tylko $22^1/_2$ miljony przebywa na terenie Rzeczypospolitej Polskiej, reszta, *blisko 8 miljonów*, znajduje się poza jej granicami. Ta wielomiljonowa rzesza Polaków na obczyźnie składa się z $2^1/_2$ miljonów zamieszkałych w krajach ościennych na terenach pozostałych poza granicami państwa polskiego, z blisko miljona emigracji w Europie i 4 miljonów poza Europą.

Rzecz prosta, że we wszystkich tych skupieniach polskich, czy to na terenach etnograficznie polskich, czy na obszarach podlegających imigracji zarobkowej, istnieje niebezpieczeństwo wynarodowienia. Obcy język, rozlegający się dookoła, obca kultura, promieniująca z coraz większą siłą, niosą ze sobą groźną możliwość, iż Polak na obczyźnie straci swe poczucie narodowe, zapomni języka ojczystego i wejdzie w krąg niepolskiej kultury. Jeżeli to niebezpieczeństwo jest wielkie dla wszystkich Polaków zagranicą, to katastrofalnem być może dla dziatwy i młodzieży polskiej. A nie trzeba zapominać, że tej polskiej dziatwy w wieku szkolnym zagranicą przy ośmiu miljonach Polaków jest co najmniej miljon.

Jakież są sposoby, ażeby zabezpieczyć młode pokolenie wzrastające na obczyźnie od zatraty własnej narodowości, od stawania się poprzez okres przejściowy półpolskości Francuzami, Niemcami, Amerykanami?

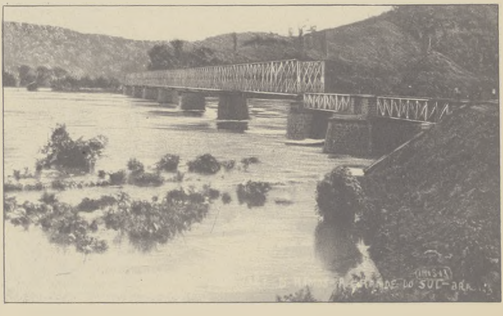
Sposobami temi są takie formy postępowania, aby zachować w każdem dziecku polskiego pochodzenia trzy cechy jego narodowości — poczucie narodowe, stałe i codzienne władanie językiem polskim i przynależność do polskiej kultury. Cechy te u dorosłego człowieka mogą być zachowane dzięki należeniu do polskich organizacyj, czytaniu polskich książek, uczęszczaniu do polskiego teatru, na odczyty i t. d., co nie wystarcza jednak przy akcji utrzymania narodowości młodego pokolenia, które o ile będzie uczęszczać do obcej szkoły, może się wynarodowić, zanim jeszcze będzie mogło należeć do polskiej organizacji i czytać polską książkę.

To też, jeśli chcemy, aby Polacy zagranicą nie wymarli wkrótce na uwiąd starczy, aby po dzisiejszem polskiem pokoleniu nie przyszło drugie, już tylko półpolskie, a za niem trzecie — niepolskie, musimy na pierwszy plan wszelkiej akcji kulturalnej zagranicą postawić wychowanie dzieci w języku i duchu polskim, a więc ochronkę i szkołę polską.

Trzeba jasno zdać sobie sprawę, co należy rozumieć pod pojęciem szkoły polskiej. Tą szkołą, która zapewnia zupełne utrzymanie polskości, jest szkoła z całkowitem nauczaniem w języku polskim przez nauczycieli Polaków przy uwzględnieniu, rzecz prosta, w szerokiej mierze nauki języka miejscowego. Nie wszędzie taką szkołę mieć możemy — w wielu wypadkach czy to zpowodu trudności prawnych czy finansowych trzeba się ograniczyć tylko do nauki języka polskiego w szkole obcej lub poza szkołą. O ile innego wyjścia niema i na tem trzeba poprzestać, zdając sobie sprawę z niewystarczalności tego sposobu wobec przemożnego wpływu szkoły obcej i dążąc wobec tego usilnie do całkowitej szkoły polskiej.

Przyjrzyjmy się teraz w krótkim zarysie, jak przedstawia się szkolnictwo

*Most łączący stan Santa Catharina ze stanem Rio Grande do Sul*
*Przez ten most jechał marszałek Raczkiewicz z Parany do Rio Grande do Sul*





*Ulica Chińska w Charbinie w czasie powodzi*

polskie w obcych krajach zamieszkałych przez Polaków.

W poszczególnych państwach sąsiadujących z Polską położenie szkolnictwa polskiego jest różne. W dwuch z nich, to jest w Niemczech i Litwie, zarówno rząd jak i społeczeństwo miejscowe utrudnia w wielkiej mierze zaspokojenie potrzeby kształcenia dzieci w języku polskim, w innych jak Czechosłowacji i Łotwie sytuacja przedstawia się lepiej.

W Niemczech, gdzie mieszka 1 300 tysięcy Polaków, liczących co najmniej 130.000 dzieci w wieku szkolnym, do roku 1928 wogóle z wyjątkiem Śląska Opolskiego nie można było zakładać szkół polskich i musiano się wtedy ograniczać do ochronek i kursów języka polskiego. Począwszy od roku 1929 założono 60 polskich prywatnych szkół powszechnych, a w roku 1932 gimnazjum w Bytomiu; po za tem istnieje kilkanaście polskich szkół publicznych powszechnych na Śląsku, przeszło sto kursów języka polskiego i dwadzieścia kilka ochronek. Ogółem w roku szkolnym 1933/34 kształci się po polsku lub uczy języka polskiego 6255 dzieci, co stanowi jednak tylko $4^1/_2\%$ wszystkich dzieci polskich w wieku szkolnym — reszta t. j. 95% chodzi do szkoły niemieckiej, nie słysząc nawet dźwięku mowy ojczystej.

W Czechosłowacji sytuacja jest lepsza — istnieje tam szkolnictwo polskie publiczne i prywatne z nauczycielami i inspektorami Polakami — szkoły powszechne, wydziałowe i gimnazjum w Orłowej, liczące razem około 13.000 uczniów, a więc przeszło połowę dzieci w wieku szkolnym.

Na terenie Rumunji przez pewien czas było bardzo źle — wszystkie dzieci musiały uczyć się w języku obcym; w ostatnich kilku latach powstało kilkanaście polskich prywatnych szkół powszechnych z półtora tysiącem uczniów i gimnazjum w Czerniowcach, a w niektórych szkołach publicznych wprowadzono język polski jako przedmiot nauczania; ogółem około 20% dzieci uczy się po polsku.

Związek Socjalistyczny Republik Radzieckich daje wprawdzie Polakom tam zamieszkałym szkołę w języku ojczystym, ale wychowanie jest prowadzone w kierunku antynarodowym.

Łotwa do roku 1931 traktowała przychylnie sprawę szkolnictwa polskiego, od tego czasu jednak stosunki się pogorszyły przez zamknięcie kilkunastu szkół; w każdym razie istnieją tam 33 szkoły powszechne i 3 gimnazja o pięciu tysiącach uczniów, zapewniając połowie dzieci polskich naukę w języku ojczystym.

Litwa stanowi obok Niemiec drugi z krajów ościennych uciskających szkolnictwo polskie — polskich szkół publicznych niema zupełnie, są tylko prywatne szkoły powszechne w ilości 14 o 453 uczniach oraz 3 gimnazja o 551 uczniach; ilość dzieci korzystających z nauki polskiej wynosi zaledwie parę procent, reszta uczy się wyłącznie po litewsku.

Na zachodzie Europy główne skupienie wychodźtwa polskiego stanowi Francja. Pomimo przyjaźni polsko-francuskiej nie doszło tam do możności otwierania szkół polskich, istnieje tylko nauka języka polskiego w szkołach państwowych lub fabrycznych od 2 do 15 godzin tygodniowo; korzysta z niej około 24.000 dzieci w 240 szkołach; po za tem jest 45 ochronek o 3 tysiącach dzieci. Znacznie lepiej przedstawiała się sprawa w Belgji i Holandji, gdzie mogą istnieć normalne szkoły polskie: niestety ilość ich zmniejszyła się ostatnio do 5 o 514 uczniach, a po za tem istnieją kursy języka polskiego liczące około tysiąca uczniów. W innych skupieniach polskich w Europie są tylko kursy języka polskiego.

Ze skupień zamorskich i wogóle zagranicznych najliczniejszem są Polacy w Stanach Zjednoczonych; tu z półmiljonowej rzeszy dzieci polskich 276 tysięcy uczęszcza do 572 szkół parafjalnych, gdzie jest wprawdzie prowadzona nauka języka polskiego, lecz inne przedmioty są wykładane po angielsku, a reszta do szkół amerykańskich, przyczem tylko 15 000 korzysta z popołudniowych kursów języka polskiego.

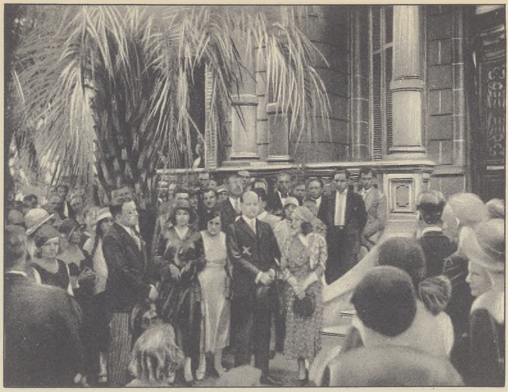
W Południowej Ameryce sytuacja przedstawia się lepiej w Brazylji, gdzie istnieją 533 szkoły polskie o 11.000 uczniach, a więc połowie dzieci polskich. Gorzej jest w Argentynie, gdzie są tylko kursy języka polskiego.

*Główna ulica w Charbinie zalana wodą rzeki Sungari*



Gdybyśmy zesumowali wszystkie cyfry odnoszące się do szkolnictwa polskiego zagranicą, to przekonalibyśmy się, że z miljona dzieci polskich zaledwie około 65.000 uczy się całkowicie w języku polskim jako języku nauczania, około 35.000 uczy się napół po polsku, a około 300 000 uczy się języka polskiego, resztę nauki pobierając w języku obcym. Inaczej mówiąc tylko 10% uczy się w języku polskim, 30% języka polskiego, reszta 60% w najmniejszej mierze nie zaznajamia się z językiem ojczystym.

Z powyższego widać, jak wielkie zadania czekają społeczeństwo polskie z jego organizacjami tym sprawom poświęconemi, jak Radą Organizacyjną Polaków z Zagranicy, aby sprostać wielkiemu zadaniu obrony polskości młodego pokolenia na obczyźnie przez najlepiej temu celowi odpowiadające instytucje — ochronkę i szkołę polską. Niewątpliwie omówienie sposobów realizacji tych zadań będzie przedmiotem obrad zbierającego się w sierpniu r. b. II Zjazdu Polaków z zagranicy, a następnie jedną z trosk mającego być powalanym do życia na tym zjeździe Światowego Związku Polaków.



*Dom Polski w Buenos Aires*
*Przed domem stoi m. in. poseł R. P. w Argentynie Wl. Mazurkiewicz z małżonką*

# Szkolnictwo polskie w Rumunji

Zarząd Polskiego Związku Szkolnego w Rumunji ogłasza w swem ostatniem rocznem sprawozdaniu dane, dotyczące szkolnictwa polskiego w Rumunji.

Zagadnieniem naczelnem, które Polski Związek Szkolny stara się rozwiązać, jest krzewienie oświaty wśród dzieci w wieku szkolnym, pielęgnowanie języka polskiego, oraz szerzenie kultury wśród Polonji rumuńskiej. W pracy ściśle szkolnej Związek pracuje w myśl wskazań Ministerstwa Oświaty w Bukareszcie, starając się, aby młodzież polska wyrastała na lojalnych obywateli Rumunji, nie tracąc łączności duchowej z Polską.

Związek nie ustaje w staraniach, celem umożliwienia dziatwie polskiej nauki języka polskiego w tych miejscowościach, w których, zgodnie z ustawami krajowemi, istnieje wymagana ich liczba. Zadanie to nie jest łatwe, skutkiem niejednolitego traktowania tych spraw przez czynniki lokalne, tak, że Związek niejednokrotnie musiał się odwoływać do władz centralnych w Bukareszcie.

Polski Związek Szkolny prowadzi 6 szkół powszechnych.

Na początku roku szkolnego 1933 34 nastąpiła w szkołach państwowych redukcja, wzgl. przeniesienie części polskich sił nauczycielskich przez państwowe władze szkolne Skłoniło to P. Z. S. do podjęcia kroków zaradczych, których wynikiem było do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy tymczasowe mianowanie nauczycieli polskich w tych miejscowościach, w których wspomniane zmiany nastąpiły.

Troską stałą Związku jest niesienie wydatnej pomocy i opieki szkołom, zarówno przezeń prowadzonym, jak i pozostającym z nim w łączności zarówno pod względem materjalnym, jak i moralnym, zaopatrywanie je w nowoczesne pomoce naukowe i t. p.

W ubiegłym roku P. Z. S. uruchomił 4-klasowe gimnazjum, do którego uczęszcza 84 uczniów. Personel pedagogiczny liczy 15 sił nauczycielskich. Związek stara się gimnazjum to postawić na jaknajwyższym poziomie, równocześnie zaś umożliwić młodzieży kończącej przejście do państwowych zakładów naukowych. Celowi temu ma służyć nauka języka rumuńskiego, prowadzona przez fachowych pedagogów.

Należy dodać, że podjęcie się prowadzenia gimnazjum oznacza wielki wysiłek finansowy ze strony Związku, tembardziej, że uczęszcza doń młodzież niezamożna, w większości zwolniona z opłat.

Bardzo dużą wagę przywiązuje Związek do sprawy kształcenia nauczycieli. W lecie roku ub. z upoważnienia Min. Oświaty odbył się 3-tygodniowy kurs języka polskiego, w którym wzięło udział 31 sił nauczycielskich oraz założono bibljotekę pedagogiczną dla użytku nauczycielstwa.

Z działalności pozaszkolnej Związku wymienić należy stworzenie ruchomej bibljoteki dla młodzieży, współpracę i pomoc, udzielaną harcerstwu i wychowaniu fizycznemu, oraz zajęcie się oświatą pozaszkolną przy pomocy nauczycielstwa.

# Moje wrażenia z pobytu marsz. Raczkiewicza w Porto Alegre

*W zeszytach 3, 4 i 5 zamieściliśmy opisy z podróży p. marszałka Raczkiewicza. Opisy te pochodziły z pod pióra jednego z towarzyszy podróży p. Marszałka. Obecnie zamieszczamy opis, pochodzący od miejscowego uczestnika w przyjęciu p. Marszałka w Rio Grande do Sul. Wrażenia te wskazują, jakie uczucia napełniały Polaków w Południowej Ameryce na widok p. Marszałka i jakie znaczenie miał przyjazd p. marszałka Raczkiewicza do polskich kolonij w Ameryce Południowej.*

*Redakcja.*



*Casablanca*

*Nouvelle Medina (Nowe miasto arabskie) Piękna brama arabska*

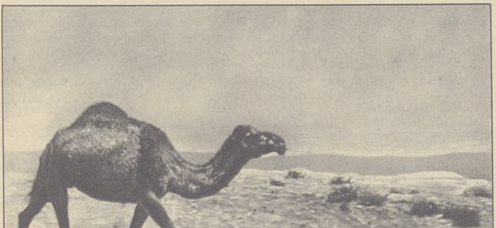
Wychodźtwo polskie w Ameryce Południowej przeżywało niewątpliwie chwilę historyczną, moment symboliczny, przyjmując na ziemi „*Krzyża Południa*" gościa w osobie p. marszałka Raczkiewicza.

Szczególnie wielka radość panowała wśród polskiej kolonji w stanie Rio Grande do Sul, powszechnie zwanej Ziemią Gauchów, gdzie odwiedziny wybitnych osobistości są rzadkością. Mimo to slawny kapitan Stanisław Skarżyński lądował dwa razy w Porto Alegre i wyraził się bardzo pochlebnie o kolonji portoalegrańskiej. Bo też polscy portoalegreńczycy, to szczególny typ ludzi, bardzo odważny, ambitny, no i niejednokrotnie awanturniczy, choć cechę ostatnią przyswoił sobie od tam zamieszkałych „gauchów", dla których życie bez rewolucji nie miałoby żadnego uroku. Walkę o pierwszeństwo, o wyróżnienie ich od Polaków, parańskich toczą już od szeregu lat i w tej walce się zahartowali. Jedni uważają, że polscy gauchowie dążą do separatyzmu, rozbijając jedność narodową w Brazylji; ja ze swej strony widzę w tej walce to konieczne zło, które podtrzymuje ich polski stan posiadania. Pamiętać bowiem należy, że pod względem liczebnym zajmują Polacy w Rio Grande do Sul 4-te miejsce, przeciwstawiając się wielkiej liczbie Niemców i Włochów którzy wobec Polaków są wręcz wrogo usposobieni.

Na wieść o przyjeździe p. marszałka zawrzało w całym stanie, jakby w ulu a szczególnie w Porto Alegre, stolicy stanu Rio Grande do Sul, gdzie marszałek przebywać miał kilka dni. Sam brałem udział w komitetach przyjęcia i dziś jeszcze cenię plan opracowania. Nie miało to być jakieś zwykłe przyjęcie, lecz całe powitanie miało się w stosownej chwili przeobrazić w olbrzymią manifestację narodową wobec tam zamieszkałych Niemców. Plan istotnie został zrealizowany. Przychylność władz brazylijskich, która oddała do dyspozycji marszałka osobny wagon oraz zamieściła nader pochlebne wzmianki w prasie brazylijskiej o marszałku i Polsce, wszystko to szło nam na rękę.

Wreszcie nadeszła chwila przyjazdu. Już wczesnym rankiem gromadziły się w halach dworca portoalegreńskiego tłumy Polaków, roiło się od organizacyj, sztandarów — wszystko w naprężeniu czeka na dostojnego gościa. Dworzec w Porto Alegre przypominał wtedy stację warszawską. Słychać gwizdy i zwolna wsuwa się do hali olbrzymie cielsko lokomotywy pokrytej czerwonym kurzem — znać, że przebyła daleką drogę (odległość Porto Alegre od Kurytyby wynosi 1600 km).

*Marakesz — Wielbłąd na pustyni*



Pociąg przystanął. Z wagonu salonowego wysiada dostojna postać marszałka. Widać w nim całą ucieleśnioną Polskę. Jeden gromki okrzyk: „Niech żyje" rozpruwa powietrze. Witają go przedstawiciele organizacyj, dziewczęta wręczają bukiety kwiatów — wszystko w ruchu, każdy chce zobaczyć marszałka. Osobno witają marszałka przedstawiciele rządu stanowego. Marszałek zajmuje miejsce w samochodzie — za nim Polacy — ulicami stołecznego miasta Rio Grande do Sul ciągnie się długi łańcuch samochodów — a na czele poczty sztandarowe... To demonstracja ducha polskiego na ulicach gauchańskiego miasta wobec tu zamieszkałych Niemców.

Wieczorem tego samego dnia odbyło się przyjęcie w lokalu polskiego Patronatu, w którym mieści się siedziba Związku Zrzeszeń Polskich na stan Rio Grande do Sul. Małe sale nie mieściły liczby delegatów ze wszystkich stron stanu przybyłych, aby złożyć marszałkowi postulaty szczególnie natury społeczno-oświatowej, bo to zagadnienie stało się aktualne od chwili, kiedy nader w ciężkich warunkach rozpoczęli swoją pionierską działalność instruktorzy oświatowi. Nie obyło się na zebraniu bez powiedzenia prawdy i demagogji, która wkradać się zaczyna w ostatnim czasie na teren działań społeczno-oświatowych. Głównym postulatem, a mianowicie sprawą uru-

chomienia konsulatu w Porto Alegre przyrzekł zająć się p. marszałek.

Następnego dnia oczekiwała kolonja marszałka w domu Tow. „Polonia", na ulicy Sao Pedro, położonej w dzielnicy Sao Jaô, najliczniej zamieszkanej przez Polaków. Tutaj mieści się polska szkoła i z tego miejsca promieniuje polski duch. Sala szczelnie wypełniona była, tak że ludzie stali nawet na ulicy. Marszałek mówi; wszystkim przypomina się ziemia rodzinna, kraj zamorski, hartuje się duch dla dobra kolonji polskiej w Rio Grande do Sul, mówi wreszcie o morzu polskiem, o Bałtyku, o falach i po cichu ściskają się pięści — „Niech spróbują zabrać Pomorze". Jednogłośnie uchwalono tedy rezolucję, że Polacy w Rio Grande do Sul stoją wiernie na straży granic R. P. i nie pozwolą ruszyć ani piędzi ziemi polskiej. Przez salę płyną melodje polskiej pieśni legjonowej, wiązanka pieśni żołnierskich. Tutaj, wśród Was zastałem ostatnią twierdzę polskości, jesteście najbardziej na południe w Brazylji wysuniętą placówką polską i dlatego starać się będziemy, aby wzmocnić polski stan posiadania — mówił p. marszałek. Jako dowód wręczył marszałek na budowę Kolegjum im. Józefa Piłsudskiego kwotę 500 milrejsów i taką samą sumę na budowę polskiego kościoła. Jak wiadomo z prasy polskiej, kolegjum polskie w Porto Alegre zaczęto już budować a kościół znajduje się na ukończeniu.

W następnym dniu odwiedził marszałek osobno polską szkołę i spędził wśród dziatwy parę miłych chwil. Na pamiątkę tego pobytu dokonano zdjęcia fotograficzne, które następnie ukazały się w największych dziennikach brazylijskich w Porto Alegre jak np: „Correio do Poco", „Jornal da Manna", „Diario de Noticia". Również odwiedził marszałek miejsce, na którem stoi już zaczęta budowa kościoła. Wszystkie te budowy dokonano w Porto Alegre w ostatnich latach a pobyt p. marszałka niewątpliwie przyśpieszył wykończenie ich.

Żegnany wielkim entuzjazmem przez kolonję z Porto Alegre opuścił marszałek stolicę „gauchów", udając się dalej na południe do Argentyny.

Dla mnie pobyt marszałka w Porto Alegre pozostanie nigdy nie zapomnianym, a dla całej kolonji był niewątpliwie symbolicznym aktem. *x y.*



**Michał Rusinek**

# Skończona Serja...

Miał pokój od tylu, na trzeciem piętrze.

Jedyne okno wychodziło na podwórze urzędowego budynku. Podwórze i nie podwórze. Taki pólogród właściwie.

Szkielet ogołoconych z liści drzew wplatał się codzień w srebrny prostokąt okna, rozciągał rachityczne członki na czarnym krzyżu okiennic.

Kołysały go czasem chłodne dłonie jesiennego wiatru.

To okno miał zawsze zamknięte, bo się wrony darły na piszczelach zamarłego kasztana.

A pan oficjał nie lubił wron. Lubił wszystko od muchy i pająka począwszy, ale nie lubił wron.

Więc zawsze zamykał okno.

To też prześmierdł całkiem pokój cygarowym dymem, nasiąknęły nim wszystkie sprzęty i odrapana tapeta ścian.

Ale najbardziej napęczniało tytoniowym dymem biurko. Wstrętny zaduch powtulał się w stosy aktów i szpargalisk.

A do tego była w biurku jedna dziwna szuflada. Po lewej stronie na dole.

Wszystkie zamykał na klucz, ale tę dolną z lewej strony najtroskliwiej ze wszystkich.

Bo były w niej cenne rzeczy.

A więc bronzowe pudełeczka drewniane z kolorowemi etykietkami. Małe i duże. Różne.

Pudełka z cygar.

Niegdyś leżały w nich pachnące tytoniowe kluski, niby bronzowe banany. Dziś każde z nich napełnione było niedopałkami cygar. Zwyczajnemi odgryzkami.

Bo pan oficjał lubił składać odgryzki.

Nikt nie wiedział, dlaczego to robił, bo zresztą i on sam nie wiedział. Składał, bo składał. Począwszy od najszlachetniejszych zbiorów, jakiemi były marki pocztowe krajowe i zagraniczne, Gwadelupy, Hondurasy, Austrje z „lakstreifami", Nyassy i ukochany Helgoland, a skończywszy na starych kluczach i gwoździach.

Wszystko zbierał.

Guziki z herbami i bez herbów. Kościane. Zwyczajne. Zbierał stare obcasy znalezione na ulicy, śrubki od końskich podków i same podkowy, sznurki zwykłe i dwukolorowe, agrafki, stare imadełka od podwiązek i szelek i korki z flaszek, jeśli nie były przewiercone spiralą korkociągu.

Nie zbierał tylko starych stempli, do których czuł niezwalczoną odrazę jako zamiłowany filatelista.

Wszystkie te zbiory, częściowo zinwentaryzowane, przechowywał w szafach i paczkach pod zamknięciem w domu. Tu w biurze miał tylko tę jedną szufladę.

Cuchnącą, jakgdyby się stale paliły w niej zabrudzone szmaty.

A to te pudełeczka drewniane, bronzowe z kolorowemi etykietkami. Małe i duże. Różne.

Ale nie z powodu nich pan oficjał zamykał tak troskliwie szufladę.

Miał w niej jeszcze inną rzecz. Najcenniejszy ze wszystkich zbiór. Jedyny.

Nie mógł go mieć wysłużony pułkownik z trzeciego piętra ani emerytowany radca Łatkiewicz, który miał wszystkie serje starej Austrji, każda nawet z nietkniętemi ząbkami.

Bo to był zbiór wyłączny, własny pana oficjała.

Zbiór jego zębów.

Miał ich trzydzieści jeden w tej szufladzie, każdy w okładzince z białego papieru. Z urzędowego papieru.

Był to jedyny wypadek, kiedy pan oficjał kradł dla prywatnych celów urzędowy papier. Kiedyindziej, czy to na list, czy podanie przynosił zawsze z domu, swój własny prywatny. A tylko do tych zębów brał urzędowy, ten z trzema gwiazdkami pod światło. Dlatego, że to niby, śmieszna rzecz, zęby te zjadł na urzędowej pracy.

Do zbioru zaglądał pan oficjał rzadko. Tylko, gdy trzeba było uzupełnić go nowym nabytkiem. A więc częściej w ostatnich czasach.

Ilekroć wyłamał mu się ząb, gdziekolwiek, czy to dawniej, za życia żony, na „wołowej" w domu, czy obecnie na parówkach w knajpie, czy gdzieindziej jeszcze, pan oficjał przynosił go następnego dnia do biura, aby go z pewnym smutkiem złożyć do zbioru.

I był to znowu jedyny wypadek w biurze, kiedy prywatna czynność była ważniejsza niż czekająca na załatwienie urzędowa „liczba".

Ząb miał pierwszeństwo przed intymatem władz centralnych.

Pan oficjał przyszedłszy w takich razach do biura zamykał jak zawsze, jeśli to było lato, okno, a jeśli to była zima, macał piec i zasiadał do biurka. Patrzył jeszcze chwilkę na kasztan wyciągający do niego czarne ręce poprzez jasność szyb, poczem brał ćwiartkę owego papieru z trzema gwiazdkami pod światło. Nożyczkami obcinał równiutko. Żeby nie było strzępków, bo szef tego nie lubi.

Chociaż szef nie miał przecież w tych rzeczach nic do gadania.

Potem wysuwał koniuszek języka między zesznurowane wargi i pisał na tej ćwiartce papieru.

Tak na przykład:

*„Nr. 30. Trzonowy górny. Drugi z prawej strony od tyłu. Plombowany dwa razy. Bolał trzy dni od 10. do 13. grudnia. Nie dało się ratować. Dr. Wiercik wyjął go po zatruciu nerwa 13. grudnia 1932 r."*

Albo tak znowu:

*„Nr. 31. Kieł dolny z lewej strony. Nigdy nie plombowany. Podgryziony kamieniem. Wyłamał się na indyku u Łatkiewiczów. W poniedziałek Wielkanocny 1. kwietnia 1933. Po tym siekaczu górnym najbardziej na niego liczyłem".*

Potem szedł w kąt pokoju za szafę do miednicy stojącej na pajęczych białych nogach z żelaza i mył zęba w wodzie. Opłukiwał go skrupulatnie, jak naprzykład Bawarję jubileuszową albo wojenną Austrję za 10 koron z Karolem, lub choćby i zwyczajne śmiecie, szutr pospolity, zielone Ameryki. Takie co to 20 groszy daje Liebeskind za setkę.

Ale porządnemu zbieraczowi to jak kochającej matce każde dziecko za równo. Więc koło wszystkiego chodził z jednakową troskliwością.

Wysuszywszy okaz bibułą, robił z owej ćwiartki papieru, na której był akt zejścia zęba, składaną kopertę, pisał na niej w prawym rogu u dołu czerwonym ołówkiem numer porządkowy (każdy akt winien mieć numer dwa razy, na zewnątrz i wewnątrz) i wkładał zęba do koperty.

Patrzył znów chwilę w czarną rózgę kasztana.

Potem wzdychiwał ciężko i otwierał szufladę biurka na lewo u dołu...

Z biegiem lat wypełniała się serja.

Były już wszystkie trzonowe z dołu i z góry, z prawej i lewej strony. Były kły górne i dolne z przodu lśniące żółtością, wyłuskane od tyłu. I poszczerbane siekacze, starte w pracowitym młynie szczęk, wysługującym siódmą dziesiątkę lat.

Tylko jeszcze ten górny siekacz wisiał uparcie jak sopelek obciętego lodu, przyczepiony do czerwonej groty dziąseł. Bał się białej trumienki z papieru, która czekała nań w czarnym grobie urzędowej szuflady.

Bał się też tego język pana oficjała. Codzień rano, gdy się budziła ze snu siwa głowa urzędnika, budził sie także język. Koniuszek jego wysuwał się delikatnie naprzód i sprawdzał, czy mu zagradza jeszcze drogę do pomarszczonych warg ten kamyczek zwisający z górnej szczęki.

A gdy napotkał nienaruszoną polerowaną ściankę, cofał się w radosnym spazmie wtył i ciągnął za sobą szeroką linję ust.

Pan oficjał uśmiechał się z zadowolenia. Z radości, że to jeszcze nie musi pisać ostatniej w życiu ćwiartki papieru, tego z trzema gwiazdkami.

Bo pan oficjał kochał tego górnego zęba.

Odkąd zapłacił rachunek za pogrzeb swojej żony, odkąd pił herbatę na wieczór i kupował sam bułki w sklepiku, odkąd nie jeździł na komisje, ten siekacz górny był dla niego wszystkiem.

Więcej nawet znaczył niż dwa czerwone, wyzłacane po brzegach albumy zagranicznych znaczków i granatowe tarcze pluszowe z mundurowemi guzikami napoleońskiej armji.

Cennym był bardzo ten ostatni siekacz górnej szczęki, ustawiony za dnia w szeregu sztucznych zębów.

A był właściwie nieużyteczny. Utrudniał tylko spożywanie pokarmów. Pan oficjał bowiem, ilekroć brał cokolwiek do ust, drżał o zęba. Wyszkolonym językiem przerzucał delikatnie kąski z lewej strony na prawą, omijając uważnie owy przytarty wiekiem kamyczek.

Bo to przecie zawsze ostatni już ludzki ząb u człowieka.

Mówił czasem do woźnego biurowego, który miał także pięć tuzinów lat za pazuchą.

— Tak to już jest, Wincenty! Póki ząb siedzi w gębie to i ludzi szanują. Po tył człowieka, póki zęba w gębie.

Niekiedy przywołał woźnego bliżej okna i kazał sobie patrzeć w usta.

— Siedzi? — pytał.

Woźny zaglądał w czerwoną czeluść ustnej jamy pana oficjała, mrużył oczy niby, żeby to lepiej dojrzeć i mówił: — Siedzi, panie tego, to twarda cholera...

Pan oficjał klepał w takich chwilach woźnego po wypukłym grzbiecie i śmiał się na głos.

Już go nawet wtedy i te wrony za oknem mniej złościły niż zwykle.

Ale były to już rzadkie chwile wesołości.

Od ostatniego bowiem zęba, wyłamanego u Łatkiewiczów, coraz większy smutek zasiadał w stosie aktów na biurku pana oficjała.

Krzykliwsze były wrony za oknem. Pióro urzędnika piszące urzędowe liczby, coraz częściej zatrzymało się w połowie wiersza i pan oficjał zapuszczał posępny wzrok w trzewia zapruszonych szpargalisk.

Były chwile, że tak siedział bezczynnie kwadransami całemi przy biurku.

Zwykle dopiero zgrzyt drzwi na korytarzu wyrywał go z tej zadumy. Mechanicznie puszczał wtedy dalej w ruch zawieszone nad arkuszem pióro i pochylał niżej kipiący nad zielonem suknem tułów.

Bo nuż to szef nadchodzi?

A pan oficjał bał się zawsze szefa. Od najmłodszych urzędniczych lat. Bał się, gdy był bezpłatnym praktykantem przed 35 laty, bał się, gdy z dyplomem rejestratora owijał esem ciała urzędowy pulpit z księgami i bał się dziś, gdy jako stary oficjał miał nawet swój osobny pokój.

Bo szef to zawsze szef..

Zwykle jednak zgrzyt drzwi wprowadzał woźnego Wincentego. Rano z przydziałką poczty, o jedenastej z herbatą.

On jeden oprócz tych wron gadał czasem z panem oficjałem.

Szczególnie gdy przychodził z herbatą. Wtedy bowiem przynosił znaczki pocztowe poodrywane z kopert codziennej poczty, wyłowionych z dyrektorskiego koszyka.

Urzędnik dziękował zawsze woźnemu, obmacywał każdy znaczek osobno, choć to było pospolite śmiecie, bo woźny co lepsze zatrzymywał dla swego syna gimnazjalisty, i rozgadywał się czasami.

I dziś też, schowawszy kopertę ze znaczkami do głębokiej kieszeni pod pachą, dorzucił:

— Tak to jest, Wincenty, z człowiekiem jak ze znaczkiem pocztowym...

Woźny nie dziwił się bynajmniej owemu porównaniu, tylko ten głos pana oficjała wydał mu się jakiś jeszcze smutniejszy niż w ostatnich dniach.

— E, tak pan oficjał teraz zawsze dziwnie zagaduje. A niby co, panie tego?

Pan oficjał odwijając z bibuły przyniesiony do biura rożek maślany do herbaty, mówił:

— Tak, Wincenty, z człowiekiem jak ze znaczkiem. Ze zwyklym znaczkiem, bo nie mówi się o Hannowerze czy starej Helwecji, czyli o ważnych ludziach. Tylko, rozumie się, o zwykłych. Póki jest w obiegu niestłoczony pieczęcią, to go każdy szanuje, głaska, językiem podlizuje. Nawet w portfelach robią schowki na niego. A potem, jak ci go grzmotnie jaki manipula pocztowy w łeb pieczęcią, to szlus. I filatelista go nie uszanuje, chyba tak tylko, na warjata, bo tych trupków jest na setki miljonów. Więc co?

Rzucił to pytanie przez parkan sztucznych zębów, poczem zamoczył rożek w herbacie i ciągnął dalej:

— Więc co? Nic. Poniewierka, zapomnienie i koniec. Do kosza. A jeszcze jak do tego taki szpargał nie ma ząbków. Liebeskind, jak natrafi taki jeden w setce, to i te 20 groszy za paczkę djabli wzięli. I znaczek bez zębów, jak człowiek nic, na śmietnik.

— E, pan oficjał zawsze z temi zębami.

Urzędnik rozpłaszczył na sztucznych zębach miazgę nasiąkniętego herbatą rożka, omijając ostrożnie tego „własnego" siekacza i skrzeczał dalej:

— A bo w zębach jest sęk, Wincenty! Koń bez zębów nic. Człowiek bez zębów nic. Znaczek nic. Albo i... maszyna bez zębów też nic!

— E, maszyna znowu — przeczył woźny — u mych ojców w Hryniówce była, panie tego, sieczkarnia bez czterech zębów, a świnie się i tak chowały.

— Ale podrywało, jakeście słomę rżnęli?

— Przy słomie nie, panie tego, bo to letko idzie. Przy koniczynie, takiej z pod sierpa, to ta korba, panie tego, w gębę trzepła.

— A widzicie Wincenty! A widzicie. Tak to tak...

Jeszcze bardziej zasmucił się pan

oficjał. Zwolnił mu się ruch szczęk mamlających ciasto maślanego różka.

Ale woźny podchwycił w mig.

— Niby to pan oficjał stale z temi zębami, a ten spieczony rożek to niby co? panie tego? Chrupanie!

Brzuch pana oficjała pobalansował między krzesłem a biurkiem. Ze śmiechu.

— He, he! Żartujecie Wincenty! Ale, ale zobaczcieno, bo coś mi tak dziś...

Przełknął kąsek i przepłukał dziąsła herbatą. Potem podszedł do okna i podniósłszy do światła owalny kwadrat rozsuniętych ust, pokazał palcem do środka.

— Yhy...

Woźny zniżył się przysiadem ku ziemi i zadarłwszy głowę w górę wiercił siwemi oczyma błyszczące śliną wnętrze ustnej jamy urzędnika.

— Siedzi, panie tego. To twarda cholera.

Zajęci przy oknie tą czynnością nie zauważyli, że otwarły się drzwi. Jakoś mniej skrzypnęły, czy co. A może te wrony za oknem przekrzyczały rzężenie zawiasów.

Dopiero głos szefa odwrócił ich od okna.

— Dzień dobry panie Skorpionek!

Mimo, iż głos był łagodny i przyjazny, strach zamknął z nagła rozwarte szczęki pana oficjała. Równocześnie coś mu spadło na prawą połowę języka.

Gładkie jak szkiełko z kolczyka.

Chwilkę plątało się po śluzie szczęk wreszcie połaskotało po tylnym rówku języka.

Pan oficjał ruszył wystającą gdyką...

Przez ułamek sekundy zdawało się, że pękną z bólu nabrzmiałe znagła świadomością oczy urzędnika. Wreszcie otworzył usta:

— Moje uszanowanie panu naczelnikowi... Ja przepraszam... że... tego — syczał inaczej niż zwykle przez zęby...

Szef uśmiechnął się dobrotliwie i poklepał oficjała po wyświeconej marynarce.

— Panie Skorpionek, przyszedłem oglądnąć pański pokój. Trzebaby panu te ściany odnowić, ha? Dali kredyty na odnowienie lokali.

— A dziękuję, najuprzejmiej dziękuję...

Plątały mu się zakłopotane, razem złączone palce. Słabe od starości oczy mrużyły się jakoś dziwnie poza siedzącą w połowie nosa ważką cwikiera.

— Ale coś mi pan źle wygląda, panie Skorpionek, ha? Wnieś pan podanie, to dam panu miesiąc zdrowotnego... Posiedzi sobie pan trochę w jakiem uzdrowisku. Borowinowe dobrzeby panu zrobiły, ha?

— Bardzo dziękuję, bardzo dziękuję, ale to już ..

— Co ale? Niechże pan da jutro Ćwieczkowi do dziennika podanie... Do widzenia, panie Skorpionek! Zdrowia szanować, ha?

— Moje uszanowanie, moje uszanowanie.

Gdy zakryło przełożonego skrzydło drzwi, pan Skorpionek osunął się na krzesło bezwładnie jak worek trocin.

Opadła mu głowa na piersi. Zawisnęła jak podcięta makówka nad zawalonem papierzyskami biurkiem, nad tym niedojedzonym rożkiem, rozkraczonym jak półksiężyc w bibule, nad tą żółtą herbatą w szklance.

I siedział nieruchomo, przyszyty smutkiem do stołka.

Zdawało się, że tak ślęczy w bezmyślności i bezczynie. Tylko delikatny ruch policzków zdradzał jakąś uporczywą, odbywającą się za niemi czynność.

To język pana oficjała wsuwał się i wysuwał w rozżalonym spaźmie pomiędzy kwadratową bramką w murze sztucznych zębów.

Tam i napowrót.

Jak gdyby po raz setny czy tysięczny sprawdzał, czy nie myli się przypadkiem.

Ale raz wraz rżnął go w delikatne mięso ostry brzeżek odłamanego korzenia.

Siekacza nie było.

Najukochańszy, najwierniejszy ząb pana oficjała odmówił posłuszeństwa. Przez 60 lat czekał sposobności i teraz gdy kłapnęły na widok dyrektora szczęki, machnął sobie koziołka i wśliznął się przez śluz krtani do żołądka.

Nie chciał wejść do tego drewnianego mauzoleum w szufladzie biurka.

Gdy się już zmęczył mięsień języka i zaczął szczypać odrapany na nim naskórek, wciągnął pan oficjał nieco powietrza do płuc i zwisając dalej nieruchomo między poręczami krzesła a biurkiem szepnął:

— To już wszystko...

Pół godziny patrzył w deskę biurka.

I znowu szepnął:

— To już wszystko.

Właśnie się wściekła chmara wron na piszczelach kasztana. Jeszcze głośniej wrzeszczały niż zwykle.

Pan oficjał poruszył się. Wstał i... otworzył okno. Potem wziął z biurka bibułkę z resztą maślanego rożka i położył na blaszanym daszku przed oknem.

— Niechże już za mnie zjedzą.

Znów siadł zpowrotem na krześle i zapatrzył się w obrośnięty czarnym grzybem kalamarz.

Kwadranse zeszywały się w łańcuch godzin.

Dawno już ogniwo trzeciej godziny wyciągnął dzień ze studni czasu a pan oficjał wisiał dalej nad biurkiem. Nie słyszał, że tam strzelali już drzwiami urzędnicy na odchodne, że tu i ówdzie w korytarzu zaśpiewał w zamku klucz.

Siedział dalej przybity do stołka obuchem olbrzymiego smutku.

Ten siekacz górny, jedyny...

Cóż teraz znaczyły dwa napęczniałe zbiorami albumy Europy i zamorskich krajów i te tarcze pluszowe ze srebrnemi guzikami nad kanapą.

— To już wszystko — szepnął znowu. Z każdą minutą smutniał jeszcze bardziej, obojętniał na wszystko.

Zapadał się, zniżał w krześle jak wór szmat, który zbyt długo stał nietknięty na jednem miejscu.

Zapomniał, że to już dawno czas na obiad do gospodyni Agnieszki. Bo co mu tam dziś był ten omlet z groszkiem i kompot z jabłek, który zamówił sobie na dzisiaj.

I co mu była ta serja starego Meksyku, którą miał mu przynieść Łatkiewicz do zamiany o piątej.

I co tam nawet te wrony na kasztanie...

Dopiero wyrwał go z zadumy głos woźnego, który szedł ze szczotką w ręce czyścić pokoje.

— O! A cóż to pan oficjał dzisiaj? Już po czwartej, panie tego... Ho, ho i okno otwarte!

— Po czwartej? Ha, ha. To się zasiedziałem! — wyseplenił przez dziurę w zębach. Niby z zadziwieniem to mówił, choć wiedział instynktownie, że już dawno minął czas urzędowania. — Zaraz idę. Przyjdźcie, Wincenty, za chwilę do sprzątania.

Po odejściu woźnego pan oficjał wyjął z szuflady półarkusz ministerjalnego papieru. Potrzymał chwilę pod światło i obciął nożyczkami dokładnie w połowie trzeciej gwiazdy wodnego druku.

Potem napisał rozdrganem piórem:

*„Nr 32. Siekacz górny, drugi z prawej strony. Wyłamał się podczas rozmowy w biurze 4. listopada 1933. Ostatni mój ząb. Z powodu przypadkowego połknięcia brak go w zbiorze".*

Ćwiartkę złożył w prostokącik, jak wszystkie, i schował do drewnianego pudełeczka w dolnej szufladzie biurka.

Chwilę siedział jeszcze przy biurku, zapatrzony w powietrze, poczem szepnął sam do siebie głębokim wydechem:

— To już wszystko. Serja skończona!

Spojrzał jeszcze raz w rozczapierzony kasztan za oknem i wyszedł ociężale z pokoju...

Gdy na drugi dzień przyszło do biura zawiadomienie, że oficjała Skorpionka przewieziono w nocy do szpitala celem dokonania operacji ślepej kiszki, wszyscy życzyli ulubionemu współpracownikowi powrotu do zdrowia, najbardziej kancelista Ćwieczek, który bał się, że będzie składka na wieniec.

# Z życia Polaków Zagranicą

## AUSTRJA

### Skutki rewolucji

W Austrji, gdzie mieszka 10 — 12.000 naszych rodaków wybuchła rewolucja, którą rząd Dollfussa-Feya potrafił stłumić, dopiero po 5-cio dniowych krwawych zmaganiach. Polacy naogół ucierpieli niewiele, jednak kilka naszych robotniczych stowarzyszeń („Siła" „Proletarjat" i „Naprzód") istniejących w Wiedniu zamknięto, czyli równowaga naszego życia organizacyjnego na terenie austrjackim została w pewnej mierze naruszona.

## ARGENTYNA

### Ciężka sytuacja

Na terenie Argentyny sytuacja tamtejszej Polonji była w dalszym ciągu bardzo ciężka. Stosunkowo dobrze powodziło się tylko kolonistom polskim zamieszkującym na północnym-wschodzie kraju, w terytorjum w Misiones. Dzięki skontyngentowaniu przywozu brazylijskiej herva-mate (herbata paragwajska), ceny tego artykułu utrzymują się w Argentynie na niskim wprawdzie, ale jeszcze opłacalnym poziomie. Rodacy nasi w Misiones, utrzymujący się z uprawy herbaty paragwajskiej, zarabiają wprawdzie znacznie mniej niż przed laty, ale jakoś mogą związać koniec z końcem i nie biedują jak większość rolników europejskich.

Gorzej jest rolnikom rolnym i przemysłowym. Jak wiadomo, głównemi artykułami wywozowemi Argentyny są: zboże i mięso mrożone. Wskutek kryzysu cena płodów rolniczych spadła katastrofalnie, a w związku z tem obniżyły się znacznie i zarobki robotników. Pozatem bieda rolników wywołała zmniejszenie się zapotrzebowania na wyroby przemysłowe. Wywołało to bezrobocie w miastach. W Buenos Aires, w Noivym Porcie, rozlokowało się w nędznych barakach kilka tysięcy bezrobotnych, utrzymujących się z żebraniny i skąpych zapomóg. Wśród nich znajduje się poważna liczba Polaków

Życie organizacyjne polskie w krainie pampasów skupia się w dalszym ciągu koło „Federacji Dor. Polski", centrali pięćdziesięciotysięcznej Polonji argentyńskiej. Ostatnio przybył do Buenos Aires nowy redaktor „Głosu Polskiego", p. Leczycki, publicysta i literat, autor głośnej w Polsce sztuki p. t.: "Sztuba". „Głos Polski" — organ oficjalny „Federacji" — jest dziennikiem, stojącym na gruncie idei konsolidacyjnej, propagowanej przez Radę Organizacyjną Polaków z Zagranicy.

### Wyprawa polska do Kordyljerów

Polonja w Buenos Aires witała niedawno uroczyście członków wyprawy andyjskiej, kierowanej przez dra Jodko Narkiewicza. Celem wyprawy, złożonej z sześciu młodych i energicznych alpinistów polskich, jest zdobycie najwyższego szczytu w Ameryce — Aconcagua — wystrzelającego na 700 metrów nad poziom morza. Młodzi turyści spotkali się z bardzo serdecznem przyjęciem zarówno ze strony rodaków, jak i władz oraz społeczeństwa argentyńskiego. Podróżnicy dostali bezpłatne przejazdy kolejowe z Buenos Aires do Kordyljerów oraz wiele praktycznych prezentów. Najpoważniejsze pisma argentyńskie (prasa w Argentynie — to potęga!) zamieściły artykuły i notatki o wyprawie polskiej, podające przy sposobności wiadomości o Polsce współczesnej. Referat prasowy Poselstwa, kierowany sprężyście przez p. Iwaszkiewicza, zrobił wszystko, aby wyzyskać pod względem propagandowym ekskursję młodych alpinistów polskich.

## BRAZYLJA

### Bolączki brazylijskie

W sąsiadującej z Argentyną wielkiej Republice Brazylijskiej kryzys jest jeszcze ostrzejszy niż w Argentynie, ale nie tak mocno daje się odczuwać ludności polskiej.

W Brazylji mieszka około 300.000 naszych rodaków. Podczas jednak, gdy w Argentynie samodzielni rolnicy nie stanowią nawet $^1/_3$ ogólnej ilości Polaków, w Brazylji dochodzą do 90%. Kryzys pozbawił Polonję brazylijską gotówki, nie wpędził ją jednak w nędzę. Ludzie nie mają na porządne ubrania, ale odżywiają się obficie i z dumą powtarzają miejscowe przysłowie, że „w Brazylji nikt jeszcze z głodu nie umarł". Kolonista polski w Brazylji płaci minimalne podatki (w niektórych wypadkach tylko 1 zł. 50 gr. rocznie od gospodarstwa 25 hektarowego) i może przeżyć ciężkie czasy mając poddostatkiem kukurydzy, mandjoki, świń, miodu, kur, pomarańcz, tytoniu. Nawet cukier i wódkę może produkować z trzciny cukrowej bez potrzeby nabywania tych artykułów w drogich sklepach miejskich.

Olbrzymia większość organizacyj polskich skupiona jest w Centralnym Związku Polaków, którego biura mieszczą się w stolicy stanu (stan — autonomiczna prowincja, na jakie podzielona jest Brazylja) Parana-Kurytybie. Co dwa lata odbywają się walne zjazdy (sejmiki) Centralnego Związku Polaków na których dokonywują się wybory Zarządu i Rady Nadzorczej Związku oraz odbywa się generalna dyskusja nad ważniejszemi problemami Polonji brazylijskiej.

Na terenie C. Z. P. zwalczają się zaciekle dwa obozy: postępowy i zachowawczy. Poprzedni Zarząd C. Z. P. był zachowawczy, obecny jest umiarkowanie postępowy. Prezesem C. Z. P. jest p. Gontarski.

Bolączką Polonji brazylijskiej są walki religijne. Niedawno pod wpływem agitacji księży Kościoła Narodowego, kilka tysięcy naszych rodaków, głównie w miasteczku Ponta Grossa (drugie pod względem wielkości, trzydziestotysięczne miasto, znajdujące się w stepowej części Parany) oraz w pionierskich kolonjach polskich nad brzegami Ivahy przeszło na wyznanie starokatolickie. Na tle tego odstępstwa doszło do krwawych starć między sekciarzami a rzymsko-katolikami. Terenem szczególnie zaciętych bójek była kolonja Hervalsinho, oddalona o 200 kilometrów od kolei, zamieszkała przez emigrantów z Lubelszczyzny. W Kurytybie liczba sekciarzy jest znikoma, nie odgrywają oni tam poważniejszej roli.

## CZECHOSŁOWACJA

### Najlepsza organizacja

Mniejszość polska w Czechosłowacji, licząca 140.000 głów, jest najlepiej zorganizowana ze wszystkich Polonij na całym globie. Dość powiedzieć, że ruch spółdzielczy jest tam tak rozwinięty, że aż 43.000 naszych rodaków w Czechosłowacji należy do przeróżnego typu kooperatyw polskich. Również i szkolnictwo polskie jest tu wspaniale rozbudowane. Ostatnio upaństwowione zostało gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej w Orłowej, przez co rząd czeski zdjął ciężar jego utrzymania z bark społeczeństwa polskiego i umożliwił mu zaspokajanie innych, bardzo ważnych potrzeb kulturalno-oświatowych.

Pod względem politycznym mniejszość polska w Czechosłowacji zgrupowana jest w trzech partjach: katolickiej, ludowej i socjalistycznej. Wszystkie partje tworzą jednak Komitet Międzypartyjny, ustalający ogólne wytyczne polityki polskiej na terenie Czechosłowacji. Dzięki tej jednolitości żywiołu polskiego, mamy w parlamencie czechosłowackim dwuch posłów, nie licząc sporadycznie wybieranych komunistów polskich.

Niedawno odszedł z terenu czechosłowackiego Konsul R. P. w Morawskiej Ostrawie, dr. Ripa. Jego ośmioletnia działalność spotykała się z powszechnem uznaniem nietylko wśród Polaków, ale i Czechów, co wyraziło się m. in. w założeniu na terenie śląsko-morawskim licznych Klubów Polsko-Czeskich.

## FRANCJA

### Dobra wróżba...

Afera Stawiskiego, krwawe rozruchy w Paryżu i strajk proklamowany przez Generalną Konfederację Pracy zwróciły uwagę całego świata na Francję. Teren ten interesuje nas szczególnie zarówno ze względu na tradycyjną przyjaźń polsko-francuską jak i obecność 700 000 Polaków, zgrupowanych głównie w północnych, górniczo-fabrycznych departamentach. W wypadkach jakie się rozgrywały na terenie Francji wzięli pewien udział i nasi rodacy. Przy Generalnej Konfederacji Pracy znajdują się sekcje polskie, które razem z oddziałami francuskiemi brały udział w strejku generalnym, skierowanemu przeciw „groźbom faszyzmu".

Polonja francuska jest wyjątkowo rozbita i skłócona. Wprawdzie centralą jej jest Rada Porozumiewawcza Związków Polskich we Francji, której trzonem jest Związek Robotników Polskich, ale do centrali tej nie należą ani zachowawczy Centralny Komitet Polaków, ani też sekcje polskie przy Generalnej Konfederacji Pracy. Przyznać jednak trzeba, że w ostatnich czasach rosną tendencje kompromisowe i prawdopodobnie w niedługim czasie Rada Porozumiewawcza obejmie całość polskiego życia organizacyjnego we Francji. Momentem zwrotnym będzie II-gi Zjazd Polaków z Zagranicy, który odbędzie się w Warszawie w okresie od 1-go do 6-go sierpnia roku bieżącego.

Większość naszych rodaków we Francji, to górnicy i robotnicy fabryczni. Zwłaszcza potężny odsetek stanowią Polacy w górnictwie, obliczają ich tam na 37% ogólnej liczby górników. Są miejscowości górnicze (np. Ostricourt) na północy Francji, gdzie ludność polska dochodzi do 70%. Czujemy się tam zupełnie tak samo jak na Śląsku lub w Zagłębiu Dąbrowskiem. Kryzys i ograniczenia stosowane do cudzoziemców pogorszyły sytuację robotników polskich. Wielu z nich wraca do Polski, wielu jednak szuka zatrudnienia we Francji. Liczne są wypadki osiadania na roli. Szczególnem powodzeniem cieszą się tereny na południu Francji, gdzie opuszczane przez Francuzów tereny nabywane są lub wydzierżawiane przez naszych rodaków. Ujęcie w karby tego niezorganizowanego ruchu i spotęgowanie go mogłoby zapewnić byt wielu tysiącom bezrobotnym Polakom we Francji, posiadającym jeszcze zasoby zaoszczędzone w latach lepszej konjunktury.

Przyrost naturalny ludności francuskiej oddawna już spadł do zera. Urodziny bilansują się na remis ze zgonami. Ludność wiejska ucieka pozaten do gwarnych miast, gdzie życie jest weselsze i bardziej urozmaicone. Żyzne pola francuskie pustoszeją lub są wydzierżawiane lub nabywane przez Włochów. W departamencie Alp Nadmorskich już 30% ludno-



*Związek byłych Wojskowych i Powstańców Rzeczypospolitej Polskiej na stan Rio Grande do Sul z siedzibą w Porto Alegre*

*Związek w swoich ramach propaguje ideologję L. M. i K. oraz żywo interesuje się „Polakami w całym świecie" nadsyłając nam fotografje, artykuły itd. 1. Wilhelm Mazurek, obecnie kierownik szkoły w Gierałtowicach na G. Śl. Powrócił do kraju przed kilku miesiącami, po 5 latach pobytu w Porto Alegre, 2. Pani Mazurkowa, 3. Leszek Palędzki, obecny Prezes Związku, 4. Wincenty Jankowiak, prezes Tow. „Polonia", 5. Rudolf Suchocki, ruchliwy członek Związku, 6. Bolesław Szczawiński, prezes Komisji Balotującej tegoż Związku, 7. Władysław Ciszewski, Wiceprezes Związku.*

łci stanowią emigranci italscy. Może to — ze względu na sąsiedztwo Włoch — mieć bardzo groźne następstwa dla państwa francuskiego. To też Francuzi z dużą życzliwością patrzą na przychodźców z dalekiej Polski, którzy w żadnym wypadku nie mogą stanowić niebezpieczeństwa dla Francji, przeciwnie nawet przez swoją pracowitość i zamiłowanie do pracy na roli są źródłem jej bogactwa i potęgi.

### Polacy ratują Francję przed wyludnieniem

Jak wykazują statystyki francuskie, przyrost ludności we Francji w roku 1932 wyraził się tylko w cyfrze 61.000 głów. Rok 1933 we Francji zapowiedział wprost katastrofalne wyniki. W pierwszym kwartale 1933 roku nadwyżka zgonów nad urodzinami wynosiła 32.259 głów. W drugim kwartale zarejestrowano 24.187 urodzin więcej od zgonów. Niby się „poprawiło", ale w każdym razie Francja zamknęła pierwsze półrocze 1933 r. deficytem 8.072 mieszkańców. Wymarło małe miasteczko. W szczegółowym poglądzie przyrostu w drugim kwartale zaledwie 15 departamentów (stanów) wykazało nadwyżkę większą od 300 do 500 głów, może się pochlubić tylko 9 departamentów. W innych zanotowano, jeżeli nie ubytek to tylko nieznaczny przyrost.

Na szczęście statystyków francuskich na terenie Francji zamieszkuje przeszło pół miljona świeżej, młodej emigracji polskiej, przybyłej tam w ostatnich latach. To też poza Bretanją i niewielką liczbą departamentów rolniczych, mogących się poszczycić nikłą nadwyżką urodzin nad zgonami, największy przyrost ludności wykazały te departamenty, w których granicach osiedli emigranci polscy.

W taki sposób polski emigrant na ziemi francuskiej nietylko wykonywuje ciężką pracę w kopalniach i fabrykach, tudzież na roli, nietylko przyczynia się do rozwoju i dobrobytu kraju, ale również powstrzymuje gwałtowne wymieranie ludności we Francji.

## MANDŻURJA

### A tam jak żyją Polacy?

Na przeciwległym krańcu globu w Chinach jest prowincja, gdzie mieszka około 4.000 Polaków. Mamy na myśli Mandżurję, okupowaną dzisiaj przez Japończyków i przekształconą przez nich na „samodzielne" państwo Mandżukuo.

Polacy przybyli do Mandżurji w końcu ubiegłego wieku, kiedy Rosjanie budowali słynną kolej Wschodnio-Chińską. Większość ich to albo pracownicy tej kolei, albo też ludzie żyjący z kolei w pośredni sposób (rzemieślnicy, dostawcy i t. p.) Na 4.000 Polaków mandżurskich 3000 mieszka w Charbinie.

Z chwilą okupowania Mandżurji przez wojska japońskie, los naszych rodaków tam zamieszkałych znacznie się pogorszył. Japończycy wypierają białych i bliska jest chwila, kiedy Polacy stracą wszelkie środki utrzymania w miastach. Będą musieli albo emigrować, albo też przenieść się na rolę. Ponieważ emigracja w dzisiejszych kryzysowych czasach nie byłaby wskazana, grono tamtejszych działaczy polskich wystąpiło z projektem założenia polskiej kolonji rolniczej na sowiecko-mandżurskiem pograniczu, gdzie jest jeszcze sporo terenów słabo zaludnionych. Kolonja taka byłaby ostoją dla rodaków, tracących podstawy egzystencji w Charbinie i innych miastach mandżurskich.

Polonja mandżurska, mimo swej znikomej liczebności, stanowi element nadzwyczaj oświecony i głęboko przywiązany do kultury i narodowości polskiej. Wszystko co jest w niej żywe i aktywne skupia się wokół „Gospody Polskiej", stanowiącej centralę polską w Mandżurji. W Charbinie istnieje kilka szkół polskich (w tem gimnazjum), do których uczęszcza łącznie 400 dzieci.

## NIEMCY

### Złamać się nie damy

Przechodząc teraz na tereny graniczące z Polską, zwrócić musimy baczniejszą uwagę na hitlerowskie Niemcy.

Zawarty ostatnio na przeciąg lat dziesięciu pakt nieagresji między Polską a Niemcami przyczynił się nieco do odprężenia stosunków między Polakami a Niemcami na terenie Rzeszy. Nie słychać już o napadach na Polaków, o awanturach tego typu, jakie miały miejsce w Zakrzewiu, ale mimo tego akcja germanizacyjna nie ustaje ani na chwilę. Nie bije się wprawdzie patrjotów polskich, ale dyskretnie, bez hałasu odbiera się im pracę i głodem usiłuje zmusić do uległości. Reportaże Jana Wiktora, zamieszczone niedawno na łamach „Ilustrowanego Kurjera Codziennego", odsłoniły krecią robotę szowinistów, zmierzających w sposób chytry ale bezwzględny do wytępienia polskości na Śląsku Opolskim. Przepojony mistycznym nacjonalizmem ruch hitlerowski objawia olbrzymią ekspansję i łamie niektóre słabsze jednostki. Na szczęście Polacy w Niemczech pamiętają niejedno. Wielu osiwiałych bojowników polskości widziało orgje bismarkowskie w okresie Kulturkampfu, pamięta działalność H. K. T. i Komisji Kolonizacyjnej, więc byle co ich nie przestraszy. Ustały niesnaski między poszczególnemi grupami mniejszości polskiej w Niemczech i Związek Polaków, kierowany przez wytrawnego działacza dr. Kaczmarka, jest silniejszy niż kiedykolwiek.

## U. S. A.

### Poprawia się...

W latach 1931 — 1933 Polacy mieszkający w Stanach Zjednoczonych przeżywali straszliwy kryzys. System bankowy amerykański załamał się zupełnie, setki tysięcy naszych rodaków potraciło z trudem zgromadzone oszczędności. Ani jeden poważniejszy bank polski nie wyszedł cało z katastrofy. Spadek cen płodów rolniczych zrujnował naszych farmerów w Teksas i Wisconsin. Bezrobocie w przemyśle wyrzuciło na bruk 600.000 robotników polskich.

Życie organizacyjne polskie nie załamało się wprawdzie, ale rozwój dwuch potężnych organizacyj Związku Narodowego Polskiego (liczącego około 300.000 członków), i Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego (liczącego 180.000 członków) doznał gwałtownego zahamowania. Tylko rozrost polskich organizacyj harcerskich oraz polskich szkół dokształcających, w których młodzież polska uczęszczająca do amerykańskich szkół publicznych uczyła się języka polskiego, postępował w tempie żywiołowem.

Na szczęście władzę w Ameryce objął energiczny prezydent Roosevelt, który za pośrednictwem „Niry" przeprowadził gruntowną reorganizację życia gospodarczego swojej ojczyzny. Liczba bezrobotnych zmniejszyła się o 4 miljony powstały liczne armje pracy, zatrudnione przy wielkich budowlach i zasilaniu jałowych pustaci, wyniszczonych rabunkową gospodarką poprzednich pokoleń.

W związku z ogólną poprawą polepszył się również i los Polaków. Jesteśmy pewni, że skoro ustąpią najbardziej jaskrawe formy kryzysu, życie organizacyjne znów się ożywi i czteromiljonowa Polonja w Stanach Zjednoczonych będzie odgrywać tę rolę, jaką z wielkiem powodzeniem odgrywała jeszcze przed kilku laty.

* * *

Uwaga całej, rozproszonej po świecie, ośmiomiljonowej masy Polonji Zagranicznej, skierowana jest na Warszawę. Tu od 1-go do 6-go sierpnia odbędzie się II-gi Wielki Sejm Polonji Zagranicznej. Sejm ten stanie się przełomowym momentem w życiu rodaków z Obczyzny. Skłócenie i rozbicie emigracyjne będzie od tego okresu należeć do przeszłości. To też wysiłki wszystkich patrjotycznie nastrojonych działaczy z terenów wychodźczych i przygranicznych zmierzają w kierunku ostatecznej konsolidacji Polonji Zagranicznej. Jak dotychczas, usiłowania te wydają pożądane rezultaty. Miejmy nadzieję, że praca tysięcznych imiennych i bezimiennych orędowników sprawy polskiej na obczyźnie doprowadzi wreszcie do stworzenia na II-gim Zjeździe Polaków z Zagranicy upragnionego Światowego Związku Polaków, symbolizującego jedność i zwartość wszystkich rodaków naszych rozproszonych po świecie.






**Cennik ogłoszeń:**

Cała strona 450 zł, 1/2 str. 250 zł., 1/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł., 1/16 str. 50 zł. Kolorowe ogłoszenia na 1. i 4. stronie według specjalnej umowy.


Wydawca i Redaktor odpow:. Leopold Nowak w Król. Hucie. Adres Redakcji i Administracji: Król. Huta G. Śląsk, ulica Hajducka 15, tel. 41167, konto P. K. O. Nr. 310.202. — Adres Redakcji **Gdynia — Gdańsk**: Redaktor **Michał Morena, Gdynia,** Świętojańska nr. 82, tel. 12-19. Prenumerata wynosi kwartalnie 3 zł. Zagranicznym prenumeratorom dolicza się koszta przesyłki. Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

**Wykonano w Zakładach Graficznych Leopolda Nowaka w Królewskiej Hucie G. Śląsk, ulica Hajducka nr. 15.**

